

Autor artykułu, zamówionego przez redaktora naczelnego „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” w związku z 10. rocznicą członkostwa Polski w Sojuszu Północnoatlantyckim, pisze o wysiłkach czynionych przez polską dyplomację w celu doprowadzenia do członkostwa naszego kraju w NATO. W kluczowym dla opisywanego procesu czasie autor był ambasadorem RP w Londynie, czytelnik uzyskuje więc szansę dowiedzenia się, jak była zdobywana przychylność środowisk brytyjskich dla idei naszego członkostwa w Sojuszu. Jednocześnie autor zastrzega, że kompleksowe potraktowanie tematu wymaga uporządkowania chronologii zdarzeń, analizy dokumentów i syntezy – co stanowi asumpt do przyszłych badań.

Redakcja

RYSZARD STEMPOWSKI

Dla Polski w NATO

Kiedy minister Bronisław Geremek 12 marca 1999 r. przekazał sekretarzowi stanu USA jako przedstawicielowi depozytariusza traktatu waszyngtońskiego polski dokument ratyfikacyjny i w imieniu rządu Jerzego Buzka złożył podpis na tekście tego traktatu, wyłożonym w Bibliotece im. Trumana w mieście Independence (Missouri), i to na biurku, przy którym ów prezydent podpisywał w 1949 r. akt utworzenia NATO, stałem się – jako ambasador RP w Londynie – przedstawicielem państwa członkowskiego NATO¹. Moją pierwszą wizytę (w tej nowej roli) u regionalnego dowódcy NATO (HQ AFNORTHWEST) w High Wycombe uwiecznia fotografia. Bywałem już przedtem w tej kwaterze, zawsze dobrze przyjmowany, ale teraz obejmował mnie inny protokół, z odpowiednim powitaniem u wejścia przez dowódcę i jego zastępców, z flagami państw członkowskich – więc i naszą, z oficjalną fotografią, wpisem do księgi gości urzędowych etc.

Szczególnej przyjemności sprawiła mi następna wizyta w HQ AFNORTHWEST, w lipcu 1999 r. Przybyłem tam w towarzystwie około osiemdziesięciu weteranów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Przywiozłem ich autobusami. Nie było z nami niedyspono-

¹ Bez ponownej, świeżej lektury zarchiwizowanych w MSZ szyfrogramów, notatek i clarisów z Londynu – w krótkim terminie niewykonalnej – mogłem jedynie prowizorycznie naszkicować kilka obrazków z pamięci o swych pracach związanych ze staraniami o członkostwo w NATO, uporządkowanie chronologii zdarzeń, analizę dokumentów i syntezę całości odkładając na inną okazję. Niniejszy tekst zakończyłem dnia 1 marca 2009 r.

wanego już wtedy, najwyższego rangą Polaka w RAF, emerytowanego Air Vice Marshal Aleksandra Meisnera. Nie dożył tej chwili emerytowany Air Chief Marshal Sir Frederick Rosier, prezes Polish Pilots Benevolent Fund, odznaczony przez prezydenta RP. Wzruszający był moment, kiedy nowy głównodowodzący natowskim Air Strike Command, Air Marshall Sir John Cheshire, po osobistym wprowadzeniu mnie do dużej sali spotkań od razu głośno oznajmił, że widzi wśród gości swoich dawnych instruktorów, którzy jako pierwsi uczyli go pilotażu. To był moment niesamowity. Zaraz wywiązały się przyjacielskie rozmowy. Sojusz wojskowy nabierał prawdziwej barwy. Albowiem traktat traktatem, sprzęt wojskowy sprzętem, ale ważne jest, żebyśmy czuli, że budujemy wspólnotę. O jakości sojuszu decyduje jakość ludzi. Cieszyłem się, że mogę tym żołnierzom stworzyć sposobność do snucia wspomnień w zupełnie nowej sytuacji międzynarodowej, lepszej dla Polski niż kiedykolwiek za ich długiej pamięci, a nawet w okresie bardzo wielu pokoleń. To była jedyna w swoim rodzaju demonstracja. Doskonale wrażenie z tej wizyty zdołało mi częściowo zrekompensować niezręczności Londynu wobec polskich pilotów podczas obchodów rocznicy *Battle of Britain* w 1995 r., nasuwającej angielskie powiedzenie, że nie lubi się banku, któremu winnym się jest pieniądze.

*
* *

Cofnę się myślami do początku. O polskim członkostwie w NATO zacząłem po raz pierwszy na poważnie myśleć dopiero podczas exposé Tadeusza Mazowieckiego. Potem ostrożnie poruszałem ten temat w rozmowach z tylko kilkoma znajomymi politykami i ekspertami. Kiedy poseł Janusz Onyszkiewicz, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, zaprosił mnie jako jedyne referenta na pierwsze posiedzenie Komisji, przedstawiłem w październiku 1989 r. tekst „Przemiany ustrojowe w Polsce a jej polityka zagraniczna. Tezy do dyskusji w Komisji Spraw Zagranicznych Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego”. Wyraziłem w nim tezę, że jeśli nawet Układ Warszawski miałby zostać zlikwidowany, NATO będzie istnieć nadal. Te słowa o zaprzestaniu działania Układu Warszawskiego odczytane i wypowiedziane zostały w gmachu sejmowym. Uważałem przy tym, że nadmierne roztrząsanie publiczne tematu

istnienia Układu Warszawskiego może OKP-owi i w ogóle naszej sprawie zaszkodzić. Łatwiej przyszło mi powiedzenie – i to jest do sprawdzenia w protokole – że za pośrednictwem EFTA (myliłem się gruntownie) wejdziemy do Wspólnot Europejskich za jakieś piętnaście lat (to się zmaterializowało, ale rzucona przeze mnie liczba nie była wynikiem analizy, raczej intuicji i „trafiłem” nieźle, ale dość przypadkowo).

W 1989 r. ZSRR istniał i ja oczekiwałem raczej dalszego jego reformowania, może nawet powstania jakiegoś nowego ZSRR i osłabienia jego światowej pozycji, lecz nie szybkiego upadku – instytucji państwa sowieckiego i tamtejszej partii komunistycznej. Układ Warszawski także nie był w 1989 r. fikcją. Przeciwnie w grudniu 1989 r. Rada Północnoatlantycka, swego rodzaju parlament natowski, stwierdziła, że państwa bloku wschodniego – wszystkie one – są nadal traktowane jako sowieccy sojusznicy, a witając polskie reformy (bez wymieniania Polski) ogłaszała, że nie może dojść do naruszenia bezpieczeństwa jakiegokolwiek państwa (czyli także ZSRR). O wiele dalej posunął się wtedy Kissinger, ale i on widział Polskę jako co najwyżej kraj neutralny. Armia Czerwona stacjonowała w Polsce i tuż za jej granicami, nowy rząd w Polsce był wynikiem wyborów uzgodnionych z partnerami Okrągłego Stołu, a rządowa administracja znajdowała się w rękach nadal istniejącej PZPR. Tworzyliśmy przesłanki rozerwania więzów zależności i dominacji, ale to nie miało – i nie mogło – dokonać się z dnia na dzień. W latach 1990–1993 uczestniczyłem w tym procesie jako szef Kancelarii Sejmu.

Mam jeszcze jedno zdjęcie. Z połowy września 1990 r. Po przywitaniu sekretarza generalnego NATO Manfreda Wörnera u wejścia do Sejmu idę z nim i przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Bronisławem Geremkiem do Sali Kolumnowej na wspólne posiedzenie obydwóch komisji spraw zagranicznych, Sejmu i Senatu. Wörner wypowiedział się tam ostrożnie o możliwości stworzenia stabilnego systemu bezpieczeństwa w Europie, opartego na współdziałaniu. Na pytanie o możliwość członkostwa krajów transformacji demokratycznej odpowiedział, że nie stanowi to przedmiotu rozważań, ale potem w gabinecie Geremka taki kategoryczny już nie był. Publiczne podnoszenie tego tematu w jego obecności – i to w gmachu Sejmu – nie mogło nie zrobić na nim wrażenia.

Był to okres, w którym pod wpływem wewnętrznych sprzeczności systemu sowieckiego Gorbaczow obrał metodę szczególnego rodzaju zaniechania, rozluźniając splót dominacji i zależności. W końcu marca 1991 r. przestał istnieć Układ Warszawski i jeszcze w tym samym roku doszło do samorozwiązania ZSRR! Czytelnik zbyt młody, żeby to wówczas świadomie odbierać, może sobie dzisiaj nie zdawać sprawy, jakie uczucia towarzyszyły Polakom w owych miesiącach. Nie zniechęcały nas nawet dyskusje o absurdalnych, szkodliwych, a może i dywersyjnych projektach w rodzaju „NATO-bis”. Jakże niecierpliwie zaczęliśmy też czekać na wycofanie rosyjskich wojsk. Ostatecznie ewakuowały się one w zrzęcznie przez polskich negocjatorów uzgodnionym, „rocznicowym” terminie 17 września (1993 r.). Tuż przedtem Jelcyń zaczął protestować przeciw rozszerzeniu NATO, ale już od momentu rozwiązania Paktu Warszawskiego zastanawiałem się nad tym, jak to wpłynie na znaczenie NATO, a od bożonarodzeniowej samolikwidacji ZSRR w 1991 r. było oczywiste, że logicznym wynikiem hegemonii USA w światosystemie powinna być jakaś forma umocnienia pozycji NATO z polskim (środkowoeuropejskim i może azjatyckim – postsowieckim) udziałem. Ale to nadal było rozumowanie dedukcyjne, hipotetyczne, życzeniowe. Wkrótce stało się jasne oficjalnie, że członkostwo w NATO jest priorytetem polskiej polityki zagranicznej. Premier Bielecki we wrześniu 1991 r. postulował polskie członkostwo w NATO, także prezydent Wałęsa pisał o tym do Wörnera. Do uszu Geremka w mojej przypadkowej obecności dotarła z wiarygodnego źródła wiadomość, że w Waszyngtonie urzędowo pracuje się nad terminarzem rozszerzenia (wtedy po raz pierwszy usłyszałem słowa *expansion* i *enlargement*, wypowiedziane w kontekście natowskim, ale nie potrafię podać daty tego epizodu). Wkrótce pojawiła się jednakże obawa, że NATO-wskie Partnership for Peace (Partnerstwo dla Pokoju, PdP) może całą sprawę rozmyć, mimo że już w styczniu (może to był luty?) 1993 r. Wörner nieoficjalnie zapewnił premier Hannę Suchocką, że Polska będzie przyjęta do NATO. Nie mógłby tego zrobić bez przekonania, że w tę stronę podąży administracja w USA.

Świadomość realności perspektywy natowskiej splotała się w Polsce z nadzieją na wejście do Unii Europejskiej według uchwalonych w czerwcu 1993 r. „kryteriów kopenhaskich”. W niejasny jeszcze sposób pomyślałem o paralelizmie integracji (NATO/UE).

Tego rodzaju rozmyślania najwyraźniej pomogły mi się uporać – na mój własny użytek – z utopijnymi ideami „trzeciej drogi”, o której tyle się jeszcze wtedy słyszało: na lewicy mówiono o trzeciej drodze jako czymś między „kapitalizmem” a „socjalizmem”, a na prawicy – jako strategicznie trwałym miejscu między Wschodem, czyli Rosją, a Zachodem, czyli USA. To mi się kojarzyło z pionierską pod tym względem strategią wczesnego Perona, z jego „Tercera Posición”, badaną przeze mnie ćwierć wieku wcześniej. Mówiono także o Polsce jako pomoście między Wschodem a Zachodem, ale do ludzi już zaczęło docierać, że po takim pomoście wszyscy chodzą w obydwóch kierunkach bez pytania pomostu o zdanie. Natomiast długo jeszcze nie mogłem pozbyć się poważnego niepokoju wywołanego rozeznaniem w sytuacji i spekulacjami na temat prawdziwych przyczyn i metod rozwiązania Sejmu (1993 r.), gdyż ewentualną destabilizację wewnętrzną uważałem za największą możliwą przeszkodę na drodze do NATO i – w ogóle – udanej transformacji.

W styczniu 1994 r. prezydent Clinton powiedział w Pradze, że PdP ma doprowadzić jego uczestników do NATO (Pytanie, jego zdaniem, nie brzmiało już teraz, czy państwa te wejdą do NATO, lecz – jak i kiedy?) – i to można było potraktować jako obietnicę publiczną, rodzaj zobowiązania powtózonego wkrótce w Warszawie, gdzie oświadczył, że NATO przyjmie Polskę. W kwietniu zaś pojawił się w Warszawie zastępca sekretarza stanu Strobe Talbott. Człowiek ten od dawna uchodził w oczach wielu z nas za mocno i raczej naiwnie rozmiłowanego w kulturze rosyjskiej badacza jej historii, który jako świeżo upieczony polityk nie zdążył jeszcze zaznaczyć zmiany swej orientacji, raczej przeciwnie, bo czyż to nie on był autorem projektu owego partnerstwa? Czy nie chciał nas usadowić trwale w jakimś peryferyjnym przedsiönku? Podczas wizyty w Warszawie nawiązał jednak do słów Clintona. PdP miało nas doprowadzić do członkostwa. Kilkanaście dni później wyjechałem na londyńską placówkę i tam członkostwem w NATO musiałem zająć się bezpośrednio. Dopiero przed samym wyjazdem dowiedziałem się, że kilka miesięcy wcześniej, ale już po wyborach 1993 r., przywódcy SLD i PSL – to były ówczesne partie rządzące – uzgodnili między sobą poufnie, że będą dążyć do uzyskania członkostwa Polski w NATO. Pronatowskie stanowisko innych dużych partii było już przedtem znane publicznie.

*

* *

Gdy teraz próbuję odtworzyć w pamięci swoją i moich współpracowników w Londynie działalność związaną z członkostwem NATO, muszę się ograniczyć do, nazwijmy to, wspomnień niesystematycznych.

Mój program działania, zaprojektowany przeze mnie i zatwierdzony przez ministra Andrzeja Olechowskiego (bez zmian) i potem niezakwestionowany ani przez premiera Pawlaka, ani prezydenta Wałęsę, a przez następców ministra niezmieniony, przewidywał funkcjonowanie w klasycznym zakresie dyplomacji, a więc rozpoznawania polityki państwa przyjmującego, reprezentowania interesów państwa wysyłającego, uczestniczenia w zawieraniu porozumień, innymi słowy – uprawiania relacji polsko-brytyjskich na coraz wyższym poziomie i tym samym konstruktywnego przyczyniania się do reprodukcji stosunków międzynarodowych. Warto więc zaznaczyć, że jeśli chodzi o problematykę członkostwa w NATO, kierowałem się w praktyce przede wszystkim treścią oświadczeń rządowych i prezydenckich oraz doniesieniami w mediach. O ile sobie przypominam, przez cały okres pracy na placówce nie dostałem bowiem żadnych urzędowych informacji wykraczających poza wiadomości o spotkaniach „NATO-RP” w ramach „indywidualnego dialogu” w sprawie rozszerzenia. Znałem jednak stanowisko ministra Andrzeja Olechowskiego (ważne przemówienia sejmowe w styczniu i maju 1994 r.), potem – ministra Władysława Bartoszewskiego (jego exposé z maja 1995 r. zawierało syntezę polskiej polityki w sprawie rozszerzenia) i stanowisko kontynuujących tę linię – ministrów Dariusza Rosatiego i Bronisława Geremka. Teraz mogę otwarcie powiedzieć – i mógłbym to udowodnić – że jeśli pominąć bardzo rzadkie exposé sejmowe premierów i ministrów spraw zagranicznych, prowadzenie polskiej polityki zagranicznej pod rządami tak zwanej małej konstytucji pozostawiało nieraz wiele do życzenia, a po wejściu w życie konstytucji 1997 r. poziom niepewności, przypadkowości, niejasności wcale się szybko nie obniżał. Oświadczenia składane w Sejmie miały wagę najwyższą, ale adekwatna organizacja służby zagranicznej pozostawała w sferze postulatów. Jeśli więc mimo to zdołaliśmy osiągnąć jako państwo tak dużo, to głównie dlatego, że dzięki odpowiedzialności czołowych polityków nie doszło do rujnujących konfliktów w łonie władzy wykonawczej, jednocześnie

sprzyjała nam koniunktura międzynarodowa, rządy Mazowieckiego, Bieleckiego, Olszewskiego i Suchockiej przygotowały grunt pod działalność w okresie tu opisywanym, kultura polityczna administracji rządowej – raczej prymitywna – przecież nie zahamowała transformacji, ambasadorowie zaś musieli sobie nieraz radzić za pomocą nieoficjalnych kanałów kontaktu z krajem. Niestety, nieoficjalnie „zdobywane” wiadomości nie zawierały wiarygodnych danych o kosztach rozszerzenia, te zaś były przez pewien czas przedmiotem najdzikszych spekulacji.

Ambasador jest jedynym przedstawicielem państwa, ale nie jest w ambasadzie sam. Ja miałem cały czas – przez okres ponad pięć lat – ponadprzeciętnie dobrą obsadę placówki, raczej nietypowo jak na polską służbę zagraniczną. Wspomagali mnie kompetentni, z poświęceniem pomagający mi realizować naszą rację stanu dyplomaci i inni pracownicy, głównie (1) zastępca kierownika placówki, minister pełnomocny i kierownik Wydziału Politycznego Witold Sobków (anglista i italianista z Uniwersytetu Warszawskiego, człowiek czytany w literaturze z nauk politycznych oraz historii stosunków międzynarodowych) – późniejszy ambasador w Irlandii, następnie podsekretarz stanu w MSZ, obecnie ambasador tytularny i dyrektor polityczny w MSZ, oraz (2) sekretarz ambasadora Cezary Król (absolwent Moskiewskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, sprawny organizator i lingwista) – późniejszy chargé d'affaires a.i. w Londynie, a obecnie dyrektor Sekretariatu Ministra. Ważne prace wykonywali ponadto: radca dr Tadeusz Szumowski (obecnie ambasador w Dublinie), sekretarz Marcin Wilczek (obecnie ambasador w Ankarze), sekretarz Tomasz Kozłowski (obecnie zastępca kierownika placówki w Londynie), radca Andrzej Kolczyński (późniejszy dyrektor Gabinetu Szefa Agencji Wywiadu), radca Andrzej Woźniak (obecnie w Ambasadzie RP w Rijadzie), sekretarz Jan Sęk (świetny anglista), a ponadto radcowie handlowi: dr Romuald Szuniewicz (późniejszy ambasador w Pretorii), dr Cezariusz Kwaterski i Piotr Kozerski, a także dyrektor Instytutu Polskiego dr Hanna Mausch, obydwaj radcowie ds. naukowo-oświatowych Marian Dąbrowski i dr Ryszard Herczyński oraz konsulowie generalni w Edynburgu (dr Paweł Dobrowolski, obecnie ambasador w Nikozji, i Andrzej Wiciech, późniejszy dyrektor w polskim British Petroleum) i Londynie (dr Janusz Kochanowski, obecnie rzecznik praw obywatelskich) oraz inni konsulowie (szczególnie Piotr Polz, Janusz Wach, Hanna

Zawisza), jak również attaché wojskowi: komandorzy Ryszard Szlegier oraz Ireneusz Góreczny i podlegli im oficerowie. Pomagali też pracownicy administracyjni ambasady. Bez moich współpracowników, tych wymienionych i tych niewymienionych, zrobiłbym mniej.

Już od samego początku, od pierwszych rozmów w tamtejszym MSZ (Foreign and Commonwealth Office, FCO) oraz Ministerstwie Obrony Narodowej (Ministry of Defence, MoD), od pierwszej wizyty u sekretarza stanu ds. zagranicznych i Commonwealthu (to odpowiednik polskiego ministra spraw zagranicznych) Douglasa Hurda, od pierwszych rozmów nieformalnych podczas prawie codziennych kolacji czy lunchów z udziałem brytyjskich polityków, urzędników i oficerów – miałem wrażenie, że sprawa naszego członkostwa jest prawie przesądzona, a może nawet ostatecznie przesądzona, w końcu oni też znali stanowisko rządu USA, lecz nie budziło w nich zachwytu. Godzą się na to rozszerzenie NATO, taka wszak jest logika relacji między wielkimi mocarstwami z udziałem nowej Federacji Rosyjskiej, ale przede wszystkim pod wpływem Waszyngtonu i wspólnego z Amerykanami dochodzenia do oceny sytuacji, choć nie są pewni, w jakim stopniu okaże się to dla nich korzystne, może nie wiedzą, czy ten proces nie zostanie zatrzymany, może nie są pewni naszych szans rozwojowych, choć mają u nas dobre źródła informacji etc. O swej akceptacji dopiero od jesieni 1996 r. mówili wprost. Z dzisiejszej perspektywy sędzę, że oni chyba rzeczywiście wtedy długo nie byli całkowicie przekonani co do wyboru zakresu i metody poszerzenia, a my o tym początkowo za mało wiedzieliśmy.

Na to wrażenie, szczególnie silne na początku, kiedy pewniejszej oceny mieć jeszcze nie mogłem, składała się właśnie świadomość, że – przyjmując stałość naszego dążenia do uzyskania członkostwa – pierwsze najważniejsze decyzje zapadają w Waszyngtonie. Nadal oczekiwałem czegoś więcej niż oświadczenie Talbotta. Dopiero jakiś czas potem uznałem, rozumując do owego momentu z nadmierną ostrożnością, nawet podejrzliwością, że sprawa jest rzeczywiście przesądzona, choć do ratyfikującego głosowania w amerykańskim Senacie jeszcze było daleko. Byłem jednak pewien, że rozszerzenie, choć kłopotliwe, zostanie uznane za coś lepszego od zaniechania rozszerzenia w nowej sytuacji bez ZSRR. Oczywiście, cały czas o tym rozszerzeniu toczyliśmy w Londynie rozmowy i nie miałem wątpliwości, że choć najważniejsza decyzja

zapada w USA i polski ambasador w Waszyngtonie ma wyjątkowo wiele do zrobienia, to rola polskiego ambasadora w Londynie, Paryżu, Berlinie, nawet w Moskwie, w tej sprawie jest istotna, a to z powodu trwającego jeszcze ucierania wspólnego stanowiska rządów USA i jego sojuszników, jak również ze względu na znaczenie opinii publicznej w tych krajach. Zresztą, czekało nas przecież rozszerzenie UE, więc rozmowy z Brytyjczykami o NATO miały podwójny sens.

Irytowały mnie krążące w kraju sformułowania w stylu „Wałęsa uzyskał od Jelcyna zgodę Rosji na polskie członkostwo w NATO”, gdyż uważałem to – i ewentualne takie starania, i spekulowanie o „zgodzie” – za przejaw mentalności „zależnej” i podważanie polskiej suwerenności. Samo późniejsze wycofanie się Jelcyna ze swoich użytych w rozmowie z prezydentem Wałęsą sformułowań także było irytujące. Jednakże wątek rosyjski był w Londynie stale obecny. Miało się chwilami wrażenie, że II wojna światowa – a może tylko zimna wojna – jeszcze się nie skończyła, a brytyjska polityka wobec Polski jest funkcją brytyjskiej polityki wobec Rosji. Wszelako w tej sprawie oddziaływała też brytyjska tradycja utrzymywania równowagi na kontynencie. To było tak mocno w brytyjskiej mentalności strategicznej zakorzenione, że do ostatecznego porzucenia tej koncepcji niektórym politykom i dyplomatom nie wystarczyły ani wspólny z Francuzami i Niemcami sojusz w NATO, ani członkostwo w Unii Europejskiej. Polski ambasador mówił im o Federacji Rosyjskiej i pożądanej jej deimperializacji jednoznacznie, ale tak, żeby nie wytworzyć podejrzenia, że polskie członkostwo może być dla sojuszników ryzykowne i do tego tak jeszcze argumentował, żeby nie wywołać skojarzenia z imperialną, kolonialną przeszłością brytyjską („Rozumiemy dobrze Rosję, bo myśmy stracili Indie”). Teraz już mogę napisać także o tym, że tuż po przyjeździe do Londynu zetknąłem się (1 maja) z byłym dyplomata II Rzeczypospolitej, który – jak wkrótce potem zacząłem się domyślać – utrzymywał bardzo głęboki kontakt z brytyjską administracją rządową, a może amerykańską, i może zresztą dlatego doszło do naszego przypadkowego (?) spotkania. Powinienem go pamiętać – jak mi powiedział – jako osobę w otoczeniu Kazimierza Sabatta (moje kontakty w latach 1973–1974). Od niego dostałem następnego dnia jednostronną kserokopię fragmentu czegoś, co określił mianem „nieoficjalnej noty Sowietów [sic!] do Londynu”. Mówił o tym jak o pewnego rodzaju cieka-

wostce, mogącej zainteresować mnie jako historyka. Ja także tak to traktowałem, ale tylko do momentu wczytania się w tekst. Rychło doszedłem do wniosku, że to specjaliści „Sowieci” i trzeba rzecz niezwłocznie przesłać do Warszawy drogą nieurzędową i nie bezpośrednio ministrowi, albowiem nie mogłem ręczyć za autentyczność treści. Przesłałem to Geremkowi (naonczas w Sejmie), a jak się potem od niego dowiedziałem, treść znał już od pewnego czasu z innych źródeł. Była to kopia fragmentu jakiegoś dokumentu, ale nie było jeszcze wtedy jasne, przez kogo do kogo został wystosowany i czy w ogóle był jakąś notą, czy tylko projektem, kopią tłumaczenia czy oryginału etc. Okazało się wkrótce, że to treść fragmentu listu Jelcyna do Majora i trzech innych przywódców wielkich mocarstw zachodnich z datą 15 września 1993 r. (właśnie tego dotyczyło to wspomniane wyżej wycofywanie się Jelcyna). Ja otrzymany fragment odczytałem, początkowo może przesadnie, jako koncepcję rozciągnięcia pozycji czterech mocarstw – istniejącej w stosunku do Niemiec – poprzez ustanowienie jakiegoś *de facto* kondominium tych mocarstw nad Polską. Potem pełny tekst opublikował dyrektor Adam Daniel Rotfeld w roczniku SIPRI (Sztokholmski Międzynarodowy Instytut Badań nad Pokojem), ale ja tej publikacji (i pełnego tekstu) Oxford University Press z września 1994 r. długo jeszcze nie znałem, co zresztą bardzo źle o mnie i naszym MSZ świadczy. Przytaczam ten epizod, ponieważ on pokazuje, w jak urozmaiconych warunkach stykałem się z problematyką naszego członkostwa w NATO.

Nieraz trzeba było reagować niezwłocznie i oficjalnie. Nawet już po skonsumowaniu rozszerzenia. W kwietniu 1999 r. „Times” opublikował niewygodny dla nas artykuł znanego mi dziennikarza o tym, że Polska czuje się umocniona dzięki natowskiemu bombardowaniu Jugosławii, rzekomo postrzeganemu przez nas jako *defiance of Moscow* – i że my te bombardowania popieramy we wcale niemałym stopniu jako akt naszego wyzwania rzuconego Moskwie. W związku z tym napisałem do redaktora tej gazety, że – po pierwsze – nasza wola wejścia do NATO nie była uzasadniana zagrożeniem ze strony jakiegokolwiek konkretnego kraju, zawsze to podkreślaliśmy, o powodach naszej akcesji wielokrotnie już dyskutowano i chyba nie warto się rozwodzić nad czymś czytelnikom tej gazety dobrze znanym. Po drugie, operacje natowskie są najlepszym sposobem położenia kresu kosowskiemu nieszczęściu, zmuszenia Miloševicia do powrotu na drogę rokowań i przestrze-

gania Praw Człowieka. Pisałem, że Polska bardzo liczy na rosyjskie współdziałanie w tej sprawie. Dodam teraz ponownie, że wątek rosyjski był prawie zawsze obecny w rozmowach o rozszerzeniu.

Londyn był dla nas ważny także dlatego, że ludzie z brytyjskiej elity władzy mieli specjalną pozycję u wielu wpływowych Amerykanów w USA, Londyn zaś był miejscem najważniejszego dla USA kontaktu europejskiego dla amerykańskich służb specjalnych, a jednocześnie stanowił wygodny punkt obserwacyjny dla amerykańskich dyplomatów. Kiedy zaprosiłem do naszej ambasady na lunch ambasadora Williama Crowe'a z jego współpracownikami, także z ataszatu wojskowego, spotkanie przedłużyło się ponad wszelkie oczekiwania, gdyż rozmowa była bardzo ożywiona i przyjacielska (ale mieliśmy też w ambasadzie polskiego kucharza). Zbieg okoliczności sprawił, że Crowe przybył do Londynu tuż po mnie, więc przy rozmaitych okazjach oficjalnych znajdowaliśmy się z powodów protokolarnych blisko siebie i naturalnie rozmawialiśmy. Na początku pomógł mi fakt, że z okresu swych badań nad polityką wielkich mocarstw pamiętałem, iż admirał Crowe, były przewodniczący Joint Chiefs of Staff, doktoryzował się kiedyś, pisząc o stanowisku Labour Party w sprawie broni nuklearnej. Crowe dobrze reagował na moje pytania o funkcjonowanie amerykańskiej administracji rządowej. Mieliśmy trochę wspólnych tematów. Oczywiście, zawsze starałem się, nienachalnie, wtrącić coś pokrzepiającego o znaczeniu strategicznym Polski w NATO. Kiedy rozmawialiśmy podczas brytyjskich okazji oficjalnych (pamiętam szczególnie długie oczekiwanie na spotkanie ambasadorów z Mandelą podczas jego wizyty państwowej u królowej), bacznie nam się przypatrywał ambasador wielkiego kraju ze Wschodu. Jednakże coś, co jemu mogło się wydawać manifestacją przyjaźni amerykańsko-polskiej, było w istocie tylko taktownym wykorzystaniem spotkania narzuconego przez protokół dyplomatyczny.

Crowe miał wygląd sympatycznego, budzącego zaufanie, dobrotliwego misia. Miałem w ciągu tych ponad pięciu lat kilka wcale dobrych rozmów z zupełnie innymi, ale też dobrotliwie się prezentującymi misiami, kolejnymi trzema ambasadorami rosyjskimi, szczególnie z Anatolijem Adamiszynem i Jurijem Fokinem. Byli to profesjonaliści wysokiej klasy. Adamiszyn pytał szczerze, jak sądzę, „dlaczego właściwie wy chcecie wstąpić do NATO?”. Zaprosiłem go kiedyś (wraz z jego współpracownikami) na kolację do rezydencji. Po takim pytaniu głównego gościa odpowiedziałem

mu wyraźnie, lecz w języku umożliwiającym dalszą rozmowę przy wspólnym stole biesiadnym. Trzeba było stawiać rzecz jasno, ale to byli przecież moi goście. Tymczasem rosyjski attaché wojskowy nie wyczuł sytuacji i, działając być może według scenariusza przewidywanego mą gwałtowniejszą reakcją na zadane pytanie, natarł na mnie niczym *tank* pod Kurskiem. Jego szef poczerwieniał z irytacji, więc ja ten atak obróciłem łagodnie w bagatelizujący żart. Następnego dnia dostałem od tego oficera skrzynkę szampana z odręcznym zapewnieniem na bilecie wizytowym, że „gospodin posoł praw, konieczno”, czy coś w tym stylu. To było protokolarnie niespotykane, ale i na swój sposób dobre, takie jakieś „swojskie”, utwierdzało mnie w potrzebie rozmawiania. Tłumaczyłem Rosjanom, że polskie członkostwo w NATO i UE jest instytucjonalnym wyrazem naszej suwerennej reintegracji z panującym światosystemem. Tak po akademicku sformułowana teza trochę rozmówców w pierwszej chwili onieśmielała, a mnie ułatwiała utrzymanie inicjatywy i późniejsze konkretyzowanie argumentacji.

Ważne zetknięcie się z wojskowymi amerykańskimi i brytyjskimi nastąpiło podczas seminarium na Uniwersytecie w Cambridge. Uczestniczyli w nim oficerowie służb specjalnych, a ja byłem jedynym ambasadorem z państwa aspirującego do członkostwa w NATO. Wielu z nich miało przed 1990 r. kontakty z dyplomatami wschodnioeuropejskimi. Zadali mi dużo pytań. Pracowity dzień spędzony w Cambridge nie poszedł chyba na marne, może Polska stała się wyraźniej widoczna jako coś nowego i konstruktywnego, innego niż stereotypowo malowany kraj Europy Wschodniej.

Przede wszystkim jednak rozmawiało się w Londynie z Brytyjczykami. (Brytyjczykiem był nawet przewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Unii Zachodnioeuropejskiej Sir Dudley Smith, który w 1996 r. złożył mi wizytę w ambasadzie). Tu chcę odnotować oficjalne i robocze spotkania z decydentami w rządzie brytyjskim oraz ich doradcami, spotkania u nich w biurze, u nas w ambasadzie albo rezydencji ambasadora, z nimi także na wspólnych kolacjach i lunchach przy innych okazjach urzędowych albo – rzadkich – bardziej prywatnych. Oficjalna lista moich rozmówców obejmuje ponad pięćset osób, od królowej i premierów poczynając, choć to były kontakty raczej protokolarne, poprzez ministrów – na urzędnikach ministerialnych kończąc, włącznie z parlamentarzystami, ludźmi z rozmaitych środowisk i spoza

aparatu władzy, także komentatorami medialnymi. U markiza Salisbury w XVII-wiecznym Hatfield House można było spotkać same wpływowe osobistości. To jeden z najbardziej prestiżowych domów angielskich. Na taki lunch zabrałem przebywającego akurat w Londynie podsekretarza stanu Roberta Mrozewicza. Przy stole opowiadał ojcowi Lady Diany o polskiej potędze wojskowej! Mnie intrygowała raczej markiza, która podczas wojny podziwiała wyczyny naszych lotników, a gdy w Polsce był stan wojenny, potrafiła nie raz zasiąść za kierownicą ogromnej ciężarówki i wieźć żywność do Polski. Skądinąd wiem, że te ciężarówki badano po powrocie, żeby się przekonać, czy nie ma gdzieś w Polsce nuklearnego promieniowania. Nie wiem, czy do tej charytatywnej akcji także stosuje się powiedzenie, że nie istnieje lunch darmowy.

Jeszcze bardziej interesujący, jeśli to właściwe słowo, był najstarszy syn markiza i markizy Salisbury wicehrabia Cranbourne, który odgrywał bardzo ważną rolę polityczną jako Lord Tajnej Pieczęci i przewodniczący frakcji konserwatystów w Izbie Lordów. Należał też zawsze do moich najatrakcyjniejszych rozmówców. Po objęciu rządów przez Labour Party wypracował on w sprawie reformy Izby Lordów kompromis starej arystokracji z młodymi socjalistami, coś więcej od zwyczajnego kompromisu międzypartyjnego, ja zaś zacząłem widywać się z jego laburzystowskim następcą.

Nie lekceważyliśmy organizacji pozarządowych. I oczywiście utrzymywaliśmy stosunki z organizacjami Polaków tam osiadłych, szczególnie z ludźmi najbardziej w nich aktywnymi, zwolennikami idei naszego członkostwa w NATO: Ryszardem Kaczorowskim (ostatni Prezydent RP na Wychodźstwie), rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii ks. prałatem Stanisławem Świerczyńskim, prezesem Zjednoczenia Polskiego Janem Mokrzyckim i jego poprzednikiem Zygmuntem Szkopiakiem, redaktorem Wiktołem Moszczyńskim, oraz prezesem Instytutu im. gen. Sikorskiego, prezesem Ogniska Polskiego, prezesem Macierzy Polskiej, kawalerami Virtuti Militari (po raz pierwszy zaproszonymi grupowo do ambasady RP), prezesami organizacji kombatanckich – byłych lotników ze sławnych dywizjonów, byłych żołnierzy z pomocniczej służby kobiet, byłych żołnierzy 1. Dywizji Pancerniej, 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, 3. Dywizji Strzelców Karpackich, 5. Kresowej Dywizji Piechoty i innych, polskimi konsulami honorowymi (Mike Oborski prowadził w Internecie – już wtedy

– kampanię „Poland comes home”, a dr Joseph Carby-Hall rozwijał aktywność w uniwersyteckim mieście Hull).

Rozmawiałem też z prezesami i sekretarzami Board of Jewish Deputies, prezesem Committee of Jews and Christians (Sir Sigmund Sternberg), z organizacją żydowskich kombatanów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie (po raz pierwszy od czasu II wojny światowej zaproszonymi do ambasady RP), zorganizowaliśmy w ambasadzie pierwszą konferencję z redaktorami i autorami „Polin” (seria studiów polsko-żydowskich). Wszystkim tłumaczyliśmy, jaka jest nowa, otwarta i demokratyczna Polska, jak rozwija się nasza gospodarka, jakie znaczenie ekonomiczne dla budżetu mogą mieć roszczenia reptrywazycyjne itp.

Nie miałem tylko szerszego kontaktu z tamtejszymi Ukraińcami. Byli wśród nich także dawni żołnierze SS Galizien z frontu wschodniego, którzy w marcu 1945 r. weszli w skład Ukraińskiej Armii Narodowej, za wstawiennictwem gen. Andersa uznani za obywatele polskich i dzięki temu przygarnięci w Zjednoczonym Królestwie, żeby ich uratować przed deportacją z rozbitych Niemiec do ZSRR. Czy Ukraina dążąca do NATO nie powinna raczej przypomnieć ostatniego dowódcy tej UAN, polskiego ppłk. dypl. Pawła Szandruka, Ukraińca odznaczonego w 1965 r. „emigracyjnym” *Virtuti Militari* za obronę Hrubieszowa i Zamościa przed Niemcami w 1939 r., człowieka akceptowanego przez Andersa i Giedroycia, zamiast gloryfikować Stepana Banderego z UPA, mordującej Polaków na Wołyniu, zresztą wspólnie ze specjalnym oddziałem policyjnym SS Galizien? Sojusz wymaga budowania zgodności, a nie sprzeczności. Członkostwo w NATO ma wiele implikacji – w Polsce, Ukrainie i gdzie indziej, implikacji nie tylko wojskowych.

Z upływem czasu treść rozmów z dyplomatami w FCO i urzędnikami MoD, ludźmi reprezentującymi najwyższy poziom kompetencji zawodowej, sprowadzała się coraz bardziej do tego „kiedy” i „jak”, a nie „czy” będziemy w NATO. Pod koniec była już mowa o tym, jakich inwestycji NATO-wskich można oczekiwać w Polsce (lotniska, radar, łączność, remonty, magazyny etc.). Jednocześnie dochodziło do stopniowego wzmacniania publicznych przekazów – i brytyjskiego, i polskiego – o budowie sojuszu wojskowego. Na przyjęcie w ambasadzie z okazji rocznicy odzyskania niepodległości 11 listopada (1996 r.) przybył Michael Portillo, Secretary of State for Defence (członek gabinetu będący odpo-

wiednikiem polskiego ministra obrony narodowej), jego laburzystowski następca po wyborach 1997 r. – George Robertson (późniejszy Lord Robertson of Port Ellen i sekretarz generalny NATO), przyjął potem zaproszenie na kolację w ambasadzie z udziałem pozostałych ambasadorów państw członkowskich albo aspirujących do NATO. Na innym przyjęciu w ambasadzie pojawił się kolejny sekretarz stanu ds. obrony Malcolm Rifkind (późniejszy następca Hurda, obecnie w kierowniczej grupie posłów opozycyjnej Partii Konserwatywnej), po nich Secretary of State for Foreign and Commonwealth Affairs Douglas Hurd (dekorowałem go Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP), a po zwycięskich dla Labour Party wyborach 1997 r. – John Reid, nowy Minister of State for Armed Forces. Z nim miałem nietypowo wiele wspólnych tematów, albowiem Reid był afrykanistą, a latynoamerykanista z afrykanistą zawsze mają o czym rozmawiać, najlepiej przy kolacji w ambasadorskiej rezydencji (raz nawet ściągnąłem na taką nieformalną okazję wiceministra obrony z Warszawy). Moim częstym rozmówcą w okresie rządów konserwatywnych był minister stanu ds. europejskich w FCO Sir Nicholas Bonsor i przewodniczący Komisji Obrony w Izbie Gmin Michael Colvin, a po zwycięstwie laburzystów – minister stanu w FCO Dug Henderson i przewodniczący komisji Bruce George.

Z rodziną królewską stykałem się najczęściej w osobach krewnych królowej, a byli nimi książę (Duke of Kent) Edward (jego ojca kojarzymy z gen. Sikorskim) i księżna Kentu (po jej świeżej konwersji na katolicyzm), ich synowie – George (Earl of St. Andrews) i Lord Nicolas Windsor oraz brat Edwarda książę Michael. Poza ambasadą rozmawiałem z księżniczką Aleksandrą (z jej inicjatywy, po jej podróży do Polski), księżniczką Anną (Princess Royal). Nie do zapomnienia są krótkie – okazjonalne – spotkania z małżonkiem królowej, który za każdym razem sam poruszał aktualny temat – a to brytyjsko-polskie kontakty wojskowe, a to powódź w Polsce, a to wynik wyborów prezydenckich w Polsce. Parokrotnie rozmawiałem z niedocenianym w mediach księciem Walii Charlesem, następcą tronu (jemu przedstawił mnie jeszcze w Polsce jako szefa Kancelarii Sejmu ambasador brytyjski). Prawie zawsze dało się wtrącić kilka słów (długie referaty jako faux pas byłyby kontraproduktywne) budujących obraz Polski jako należącej do Europy w tamtejszym, kontynentalnopolitycznym, unijnym pojmowaniu tego terminu. Członkowie rodziny królewskiej politykami nie są,

lecz ich otoczenie stanowi część elity i coś z tych królewskich kontaktów przenika do szerszych kół wpływowych. Wspomnienie tłumnego powitania królowej Elżbiety w deszczowym Krakowie pojawiało się w tamtejszych rozmowach przez lata. Trzeba było tę atmosferę wykorzystać. Na moją prośbę księżę Edynburga przyjął dużą grupę polskich kombatanów. Była to pierwsza tego rodzaju audyencja i – dla mnie – specjalna okazja do publicznego wypowiedzenia się w Pałacu Buckingham o naszych natowskich aspiracjach.

Nieraz padało pytanie ze strony niektórych ambasadorów z krajów sąsiadujących z Polską: „Jak ty ich ściągasz do ambasady?”. Trzeba bowiem wiedzieć, że członkowie gabinetu z reguły widywani są tylko w ambasadach wielkich mocarstw, a członkowie rodziny królewskiej – prawie nigdy w ambasadach czy rezydencjach. Ja zawsze udawałem zdziwienie takim pytaniem i odpowiadałem, pół żartem, pół serio, żeby nikogo nie urazić: „Jak to, jak? Ja reprezentuję tutaj Polskę, wykonuję swoją robotę”. Dyplomaci nieraz wyśmiewają Francuzów z ich *la grandeur de la France*. Ale który ambasador nie myśli o tym, jak pokazać swój kraj? Nie uda się to dyplomacie z kompleksem niższości. Nie miejmy jednak złudzeń, sukces akcji dyplomatycznej tylko w bardzo skromnym zakresie jest zależny od osobistych cech ambasadora. Już łatwiej coś „osiągnąć” ambasadorowi psującym dyplomację swego państwa. Natomiast sukces naszej dyplomacji zależy raczej od wyrazistości i spójności prowadzonej przez Radę Ministrów polityki zagranicznej, współdziałania prezydenta RP z premierem i właściwymi ministrami, od organizacji służby zagranicznej i sprawności intelektualnej ministrów, ostatecznie zaś jest funkcją kierunku i tempa rozwoju Polski. Choćby nie wiem jakich czynów dokonywali ambasadorowie, nie byłoby przecież członkostwa Polski w NATO bez udanej per saldo transformacji ustrojowej, a – nie szukając daleko – bez tej transformacji niejedyn nie zostałby nigdy ambasadorem!

Moje atrakcyjne kontakty z wysoko postawionymi osobistościami nie odniosłyby odpowiedniego skutku, gdybyśmy nie mieli jednoczesnego i systematycznego kontaktu z dyplomatami Foreign and Commonwealth Office. Przyszły historyk stosunków polsko-brytyjskich będzie czytał w archiwach brytyjskich poświęcone temu notatki przede wszystkim takich osób, jak: kierowniczką Departamentu Bezpieczeństwa Alyson Bailes (potem następczyni

Adama Daniela Rotfelda na stanowisku dyrektora SIPRI), zastępca podsekretarza stanu Roger Bone (później ambasador w Brazylii, obecnie prezes Boeing UK), dyrektor ds. UE Colin Budd (późniejszy ambasador w Hadze) i jego poprzednik na stanowisku przewodniczącego Połączonego Komitetu ds. Wywiadu w Cabinet Office (Kancelarii Rządu) – Sir Michael Pakenham (późniejszy ambasador w Warszawie), John Coles i jego następcą na stanowisku stałego podsekretarza stanu (szef Służby Dyplomatycznej), zastępca podsekretarza stanu Jeremy Greenstock (później stały przedstawiciel brytyjski w ONZ), dyrektor ds. europejskich Stephen Wright (późniejszy ambasador w Hiszpanii), zastępca podsekretarza stanu David Manning (późniejszy ambasador brytyjski w Waszyngtonie), dyrektor polityczny w FCO Pauline Neville-Jones (później minister ds. bezpieczeństwa w konserwatywnym gabinecie cieni, członkini Izby Lordów), zastępca podsekretarza stanu Francis Richards (późniejszy dyrektor rządowej agencji łączności, GCHQ), kolejni kierownicy Departamentu Europy Środkowej – Nigel Thorpe (późniejszy ambasador brytyjski w Budapeszcie) i Howard Pearce (późniejszy gubernator Wysp Falklandzkich). Ci ludzie odgrywali ważne role, wspomagając rząd w prowadzeniu polityki zagranicznej i byli mymi najczęstszymi rozmówcami. Dyplomaci, którzy byli przedtem na placówce w Polsce (PRL), okazywali nam, dyplomatom z polskiej ambasady, wiele sympatii. Spotkałem też dyplomatów emerytowanych (ale nadal aktywnych – w Izbie Lordów, bankowości czy w izbach handlowych), którzy także przychylnie reagowali na wiadomości o polskiej transformacji i zabiegach o członkostwo w NATO i UE. Spotkałem ludzi – także Brytyjczyków – narzekających na arogancję dyplomatów z FCO, ale nie wydaje mi się, żeby istniała gdzieś służba dyplomatyczna lepiej funkcjonująca od brytyjskiej, a stwierdzam to także po długich latach spędzonych na badaniu historii stosunków międzynarodowych. Od tych ludzi można się było wiele nauczyć, ale nie wolno było bezmyślnie kopiować ich doświadczenia i musieliśmy ich stopniowo oduczać starej praktyki, że Ambasada Brytyjska w Warszawie współprogramuje i współrealizuje nie tylko wizyty brytyjskie w Polsce (działalność prawidłowa), ale także – na niepożądaną skalę – wizyty polskie w Zjednoczonym Królestwie (nieuprawnione zastępowanie ambasady polskiej). W tej sprawie zaznaczyły się niedostatek wiedzy, kompleks niższości, nawet służalczość, czasem motywowane chęcią legitymizowania się w oczach zachodnich dyplomatów, widoczne w zachowaniu nie-

których polityków i urzędników w Warszawie. A przecież w Londynie można było dużo osiągnąć, jeżeli tylko potrafiliśmy wykazać zbieżność interesów polskich i brytyjskich. A proces rozszerzenia NATO (i UE) prowadził, krok po kroku, do wspólnego pojmowania wspólnego interesu.

Nie zawsze jednak ten interes potrafiliśmy odpowiednio zdefiniować i wyartykułować. Kiedy strona brytyjska uznała, że nadszedł czas na przekazanie nam akt personalnych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, załatwianie sprawy skomplikowało się głównie z powodu braku polskiej koordynacji centralnej. A kiedy z kolei strona polska doszła do wniosku, że czas wystąpić o zwrot archiwum polskiego wywiadu z okresu wojny, przekazanego razem z aktywami stronie brytyjskiej w Londynie tuż przed wycofaniem uznania przez wielkie mocarstwa w lipcu 1945 r. (w związku z pojałtańskim uznaniem rządu sformowanego w Kraju), urzędnicy w Warszawie zabrali się do tego bez zasięgnięcia opinii ambasadora w Londynie i przez to nieświadomi warunków działania, co rzecz najpierw opóźniło, a po zakończeniu mojej misji przyczyniło się do powołania dwustronnej komisji firmującej opublikowany raport, nader obszerny fizycznie, lecz którego treść nie może być – moim zdaniem – traktowana jako zaspokojenie naszych historycznie, moralnie i prawnie, uzasadnionych roszczeń – tym bardziej w stosunkach między sojusznikami w NATO. Zaspokojenie tych roszczeń, zakładając jego obecną osiągalność, komplikowane jest przez okresowe dążenia w Polsce do zmiany urzędowego stanowiska brytyjskiego w sprawie przyczyn śmierci gen. Sikorskiego. Drażnienie tej sprawy nie przynosi niczego dobrego. Może jednak nie byłoby tak głębokiego deficytu zaufania, gdyby nie wielodziesięcioletnia hipokryzja rządu Zjednoczonego Królestwa w sprawie sowieckiego ludobójstwa katyńskiego.

Nie eksponowałem publicznie kontrowersyjnych spraw, skupiając się na naszych planach dotyczących NATO (potem też – UE). Największe okazje do promowania Polski wiązały się z wizytami prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego (towarzyszył mu minister Dariusz Rosati), premierów – Waldemara Pawlaka, Jerzego Buzka, Leszka Millera, ministrów spraw zagranicznych – Władysława Bartoszewskiego i Bronisława Geremka. Ważne były też wizyty ministra obrony narodowej Stanisława Dobrzańskiego, wiceministra obrony narodowej Andrzeja Karkoszki, podsekretarza stanu w MSZ Andrzeja Towpika, ministra spraw wewnętrz-

nych i administracji Leszka Millera, a po wyborach w Polsce 1997 r. – ministra obrony narodowej Janusza Onyszkiewicza oraz ministra finansów Leszka Balcerowicza (wizyta u George’a Browna) i podsekretarza stanu w MSZ – Radosława Sikorskiego. Wyraźnie korzystne znaczenie tych wizyt nie powinno prowadzić do przesłodzenia obrazu Polski w Zjednoczonym Królestwie. Wizyty, w sumie bardzo pożyteczne, często nie przebiegały w idealny sposób i nie wszystkie rozmowy były udane. Jedną zapamiętałem jako chybioną. Większość czasu pochłonęło odczytywanie przez gościa z Polski notatki w tym celu przywiezionej. Płynną polszczyzną informował swego gospodarza o sukcesach i zamiarach rządzącej koalicji – także o dążeniu do członkostwa w NATO i w UE. Odczytywanie przywiezionego tłumaczenia zajęło jeszcze więcej czasu, gdyż mówca coś chyba pominął, ale tłumacz odczytał wszystko. Krótka rozmowa – na długą zabrakło już czasu – okazała się jeszcze gorsza od tej notatki i to już było zasługą gospodarza, który się do stylu gościa dostosował; jej treść – zważywszy na rangę rozmówców – była tak absurdalna, że nie chcę jej głównego wątku tu przytaczać. Długo potem nie mogłem przeboleć tej kompletnie zmarnowanej okazji. Siebie także obwiniałem, gdyż może należało przedtem działać niekonwencjonalnie, jeszcze usilniej domagając się uzgodnienia warszawskich przygotowań z ambasadorem w Londynie? Ale ten sam polski polityk w innych punktach wizyty okazał się rozmówcą błyskotliwym. Ostatecznie więc pokazaliśmy się jako kraj demokratyczny: nie tylko Sejm i Senat, także nasza Rada Ministrów na czele z jej prezesem jest reprezentatywna – w każdym tego słowa rozumieniu.

Uważnie słuchano przemówień prezydenta Kwaśniewskiego w Chatham House, czyli Royal Institute of International Affairs (odpowiednik PISM) i jeszcze wcześniej (jako przewodniczącego klubu poselskiego) w Royal United Services Institute for Defence Studies (placówka obsługująca wszystkie rodzaje broni), a także przemówienia ministra Geremka w Chatham House. Oficjalne wypowiedzi publiczne miały poważne znaczenie, ale moim zdaniem nie mniej ważne było wrażenie, jakie ci ludzie robili w Londynie – do pewnego stopnia zależne od politycznej biografii i osobowości, ale z ogólnym bilansem bardzo wyraźnie pozytywne. Brytyjczycy chcieli wiedzieć, i sądzą, że wiedzieli, z kim mają do czynienia. Pod tym kątem „sprawdzano” też nieustannie ambasadora i podległy mu personel. Mnie osobiście interesujących wrażeń

dostarczała obserwacja kontaktu między dyplomatami brytyjskimi a politykami z Polski, jeśli byli to rozmówcy, którzy znali się z okresu przed wyborami 1989 r.

Nietypowym sposobem korzystnego zaprezentowania Polski była wizyta ks. bpa Tadeusza Pieronka w ambasadzie, gdzie w lipcu 1998 r. wygłosił na moje zaproszenie wykład w cyklu „Europe Lectures at the Polish Embassy”, w którym przytoczył pozytywną opinię Jana Pawła II o rozszerzeniu UE i stwierdził, że 84% duchowieństwa katolickiego w Polsce opowiada się za członkostwem Polski w UE. Formalnie rzecz dotyczyła stanowiska wobec UE, ale europejska integracja rozwija się dwutorowo, rozmowa o UE obejmuje w pewnej mierze NATO. Warto również pamiętać, że każdy publiczny wykład katolickiego biskupa z Polski w tym anglikańskim państwie miał i jeszcze długo będzie miał szczególnie znaczenie. To było bardzo potrzebne spotkanie, ukazujące licznie zgromadzonym ekspertom, dziennikarzom i dyplomatom brytyjskim nowoczesną europejskość Polaków o historycznie uformowanej tożsamości narodowej.

Większość polskich rozmów i kontaktów w Zjednoczonym Królestwie miała pozytywne znaczenie w sprawach natowskich, ale ja zawsze uważałem, że niedocenianą metodą promowania Polski jest zapraszanie obcokrajowców do Polski. Mimo wielu naszych braków, prezentowaliśmy się per saldo lepiej, niż na ogół goście się tego spodziewali. Proponowałem nawet organizacyjne rozwiązania w tym zakresie, żeby wykorzystać koniunkturę związaną z rozszerzeniem NATO i UE.

Co mogło być kryterium brytyjskiego rozpoznania polskiego rozmówcy? Kiedy składała wizytę państwową w Polsce królowa Elżbieta, towarzyszący jej minister spraw zagranicznych Malcolm Rifkind został przyjęty przez prezydenta Kwaśniewskiego. Była to bardzo udana rozmowa. Dobrze ją pamiętam. Przez typowe u nas zaniechanie nie uczestniczył w niej nikt z MSZ, żeby zrobić z rozmowy notatkę. To oczywiście nie było dobre, ale też nie miało decydującego znaczenia, gdyż – tłumaczyłem potem urzędnikom – z naszego punktu widzenia ważne jest, czy przy takiej okazji brytyjski minister może się dobrze z polskim prezydentem porozumieć; czy może uznać, że przynajmniej do pewnego stopnia polski prezydent jest *one of us*, jak mawiała premier Thatcher. Sojuszu wojskowego nie zawiera się z ludźmi zupełnie obcymi. Deklamowanie w Londynie czy Warszawie o znaczeniu „wartości” nie

znalazłoby wśród obcokrajowców odpowiednich słuchaczy, trzeba było zachowywać się tak – i o innych sprawach także mówić w taki sposób – żeby pokazać, jakie to konkretnie wartości Polakom w praktyce społecznej przyświecają. I że to są wartości rzeczywiście wspólne. Innymi słowy, trzeba było znaleźć wspólny język.

Dla uniknięcia nieporozumień dodam, że język rozmowy pojęty filologicznie nie ma zasadniczego znaczenia. Akurat Aleksander Kwaśniewski z obcokrajowcami porozumiewał się bez trudu, nie tylko z powodu znajomości języka. Ambasador język kraju przyjmującego znać musi i to raczej dobrze. Jednak londyńską rozmowę ministra Bartoszewskiego, niewładającego angielskim, z brytyjskim ministrem obrony zapamiętałem jako przykład chyba najintensywniejszej komunikacji między członkami dwóch rządów, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Umiał też rozmawiać z Brytyjczykami premier Miller, choć nie znał jeszcze angielskiego. Byłem uczestnikiem rozmowy prezydenta Wałęsy z królową Elżbietą na pokładzie krążownika w Portsmouth podczas obchodów rocznicy lądowania aliantów na kontynencie i byłem obecny na popołudniowej herbacie w Buckingham Palace, kiedy królowa przyjmowała Wałęsę jako już byłego prezydenta. Niezbędność „tłumaczącego” pośrednictwa w tych akurat rozmowach dodawała im autentyczności. Wałęsa to był też kolosalny atut w kontaktach z tak zwanym człowiekiem z ulicy – zwykli ludzie na londyńskiej ulicy czy podczas naszej przechadzki z eksprezydentem po St. James Park rozpoznawali go i reagowali na niego ze spontanicznie wyrażaną sympatią, był jednym z nich, o wykonywanie konstytucyjnych kompetencji prezydenckich go nie pytali. Oczywiście, kiedy Geremek rozmawiał z Cookiem, czy to w pałacyku MSZ przy ul. Foksal, czy na lotnisku Heathrow, miało się wrażenie, że ci politycy znają się od wieków. Olechowski także ma wyczucie stylu, ma znakomite rozeznanie i doskonale włada angielskim. Staraliśmy się wejść do NATO i Brytyjczycy poznawali nas jako ludzi, z którymi znów można stanąć ramię w ramię w sojuszu wojskowym. A my tym razem byliśmy silniejsi niż w 1939 r. Nie ubiegaliśmy się o gwarancje obcego mocarstwa, lecz dążyliśmy do tego, żeby znaleźć się w sojuszu, w którym wszyscy jego członkowie sobie wzajemnie obronę gwarantują.

I tu jest może właściwe miejsce, żeby powiedzieć, iż bardzo często w kontaktach z osobami różnych pozycji słyszałem, że albo ktoś zna polskiego oficera z okresu II wojny światowej, albo miesz-

ka po sąsiedzku z byłym żołnierzem polskim etc. O decydującym udziale polskich lotników w *Battle of Britain* słyszałem od naocznych świadków. Ważne dla mnie było, że mogłem się powoływać na ich doświadczenie historyczne, że polscy emigranci poradzi sobie w początkowo bardzo trudnym procesie integracji społecznej. Wykorzystywałem bowiem to zjawisko, tłumacząc, że tak jak oni w Zjednoczonym Królestwie dowiedli swej zdolności do kooperacji, tak i my to pokażemy w nowych warunkach współdziałania w NATO i Unii Europejskiej. Wolałem już zwykle nie wspominać o brytyjskich „gwarancjach” z 1939 r., anglo-amerykańsko-sowieckich uzgodnieniach teherańskich, amerykańsko-brytyjskich koncesjach jałtańskich i brytyjskim niedopuszczeniu polskich żołnierzy do powojennej defilady zwycięstwa w Londynie. O polskim wkładzie wojennym absolutnie wystarczająco przypominało Zjednoczenie Polskie, czyli Federacja Polskich Organizacji w Wielkiej Brytanii oraz polskie organizacje kombatanów w Anglii i Szkocji. Raz nawet zaprosiłem wspólnie z prezesem Instytutu im. gen. Sikorskiego wszystkich attaché obronnych z londyńskich ambasad państw NATO do Instytutu, gdzie mogli zobaczyć unikatowe eksponaty. Innym razem „przyprowadziłem” tam ministra Portillo, żeby obejrzał zbiory. Czegoś takiego nie mógł urządzić żaden inny kraj kandydujący do NATO.

Lokalne koła partii politycznych zapraszały mnie na spotkania i ja to sobie bardzo ceniłem. Odwzajemniałem takie zaproszenia, goszcząc w ambasadzie wcale duże grupy.

Kiedyś w Bath miejscowi konserwatyści urządzili konferencję z udziałem ambasadorów kilku państw dążących do członkostwa w NATO. Każdy z nas miał udzielić krótkiej odpowiedzi na pytanie o „dowry”: „Jaki posag Pani/Pana kraj wnosi do NATO i Unii Europejskiej?”. Do dyskusji wprowadzał znany i w Polsce komentator polityczny i autor książek historycznych Neal Ascherson. Odpowiedzi moich koleżanek i kolegów skupiły się na przypomnieniu wkładu „ich” artystów i uczonych do kultury europejskiej. Przedstawicielka państwa bałkańskiego, przemawiając tuż przede mną, dała nam wykład w szkolnej angielszczyźnie o tym, że cywilizacja europejska to w zasadzie wynik odwiecznej aktywności mieszkańców jej kraju. Zabrała nam sporo czasu i zaczęło się robić późno, ale Ceausescu byłby z niej dumny. Przemówiłem po niej, jako ostatni, w taki mniej więcej sposób: „Każdy z Państwa uczył się w szkole o Koperniku i słucha muzyki Szopena,

wielu zetknęło się z brytyjską fundacją medycznej pomocy im. Marii Skłodowskiej Curie i wie, że ta uczona była Polką, na pewno też nie brakuje tu osób świadomych tego, że gdyby nie polscy lotnicy, to kto wie jakby się *Battle of Britain* i późniejsza historia potoczyły. Dlatego powiem krótko, że Polska, po dokonaniu bezprecedensowej, pokojowej zmiany ustroju w warunkach sprzyjającej koniunktury międzynarodowej, reintegruje się z Europą w polityczno-demokratycznym tego słowa rozumieniu, wnosząc w posagu jako stary naród europejski, niemający żadnych sporów terytorialnych z sąsiadami ani żadnych wewnętrznych konfliktów na tle etnicznym: rozszerzenie wspólnoty europejskich narodów demokratycznych, stabilizację obszaru historycznie konfliktogennego w stosunkach między wielkimi mocarstwami, wykształconych pracowników wszystkich szczebli, poszerzenie rynku handlowego i finansowego, szersze otwarcie na inwestycje bezpośrednio z wyżej rozwiniętych krajów członkowskich, krótko mówiąc, Polska wchodzi jako czynnik długofalowego rozwoju, a ponadto ma wiele atrakcji do osobistego odkrycia przez Państwa po locie trwającym do Warszawy czy Krakowa krócej niż do Aten, Lizbony, Malagi, Marsylii czy Palermo. My Europejczycy musimy się rozwijać jako największa i najsilniejsza wspólnota narodów, w przeciwnym bowiem razie zamienimy się za 50 lat w klub prelegentów wynajmowanych przez bogaczy chińskich i brazylijskich do wygłaszania odczytów o Koperniku, Szekspirze, Newtonie i Szopenie i w ogóle o schyłkowej cywilizacji europejskiego przylądka Azji. Żadnej innej siły na skalę światową reprezentować nie będziemy". Ta wypowiedź, zakończona raczej przesadnie sformułowaną wróżbą, została przyjęta największymi oklaskami, może z powodu swej zwięzłości, ale dzięki niej wystarczyło mi czasu na pytania i odpowiedzi, kontynuowane podczas późniejszego koktajlu. Co chcieli wiedzieć ci ludzie, w większości z klasy średniej, osoby należące przeważnie do starszego pokolenia? Ktoś wyraził wątpliwość, czy ten polski komunizm był taki straszny, skoro go tak łatwo obaliliśmy. W odpowiedzi poprosiłem, żeby pomyślał też o mistrzostwie naszych negocjatorów i odrzuceniu przez Polaków koncepcji krwawego powstania gołych rąk przeciw czołgom. Dodałem też, że nie sprawdziły się obawy, że nasze niepodległościowe dążenia zdestabilizują sytuację w Europie, mamy raczej stan lepszy niż kiedykolwiek za pamięci uczestników tej rozmowy. Na takich spotkaniach zwykle nie dostawałem jednak pytań bezpośrednio dotyczących NATO. Musiałem tę problematykę w odpo-

wiedziach sam wprowadzać, ale bardzo zwięźle, jednym – dwoma zdaniem. Pytano przeważnie o to, czy nowe warunki zapowiadają masowe wychodźstwo w oszukiwaniu wyższego standardu życia w krajach położonych na zachód od Polski, czy nasze spodziewane członkostwo w UE nie zmniejszy kierowanych wówczas gdzie indziej środków? Tej ostatniej sprawy dotyczyło spotkanie z politykami samorządowymi w regionie północnym Anglii, gdzie fundusze unijne odgrywały pewną rolę. Odnosiłem nieraz wrażenie, że NATO jest traktowane jako zło konieczne, szczególnie przez lokalnych polityków Partii Pracy o nastawieniu „old Labour”.

Wątek finansowy pojawiał się też zawsze w rozmowach oficjalnych. Ale raczej w związku z problematyką unijną niż natowską. Osiągało to nieraz niepożądane proporcje. W początkach 1998 r. uczestniczyłem w przesłuchaniu w Komisji Izby Lordów ds. Wspólnot Europejskich i czułem się zmuszony w końcu powiedzieć, że chodzi o proporcje; integracji europejskiej nie chciałbym zamienić na integrację głównych księgowych: „Poland was proposing to integrate itself with the European Union, not with a fund”.

Konsultacje w think tankach też nie były z początku tak owocne, jak tego oczekiwałem. Kiedy Sir Michael Butler, były przedstawiciel brytyjski w dawnej European Economic Community (znany mi skądinąd jako kolekcjoner siedemnastowiecznej porcelany chińskiej i członek zarządu komputerowej firmy ICL, przyjaciel Cooka z opozycyjnego gabinetu cieni), zorganizował w 1996 r. nieoficjalne konsultacje ekspertów i dyplomatów w sprawie ekonomicznych skutków rozszerzenia UE i NATO, podniosłem sprawę „bezpieczeństwa energetycznego”. Nikt do tego wątku nie nawiązał. I kiedy po zakończeniu dałem wyraz swemu rozczarowaniu w rozmowie z moim sąsiadem przy tym stole, ambasadorem Rumunii Sergiu Celacem, byłym ministrem spraw zagranicznych, stwierdził on, że „dla nich to za wcześnie, oni dopiero za parę lat zobaczą”. Oczywiście, Brytyjczycy mieli swoje instrumenty gromadzenia informacji. Korzystali też z wielu otwartych źródeł informacji zagranicznej.

W publicznej dyskusji o NATO ważniejsze były spotkania w środowisku akademickim. Na nich można było omawiać zagadnienia strategiczne, bezpieczeństwo w Europie, zastanawiać się nad profilem NATO. O tym rozmawiałem na uniwersytetach w Belfaście, Birmingham, Bristolu, Cambridge, Derby, Edynburgu,

Glasgow, Hull, Londynie, Oksfordzie, Salford, St. Andrews, Southampton. Czasem wygłaszałem wykład i odpowiadałem na pytania, nieraz byłem gościem rektora lub zespołu badaczy. Na podobne spotkania uniwersyteckie jeździł też pełen inicjatywy i dłużej ode mnie w Londynie pracujący radca-minister pełnomocny Witold Sobków (Thames Valley University, Durham University, London University/UCL, Middlesex, Hull, Birmingham, Durham, Southampton, York, Sussex, Leicester, Manchester, Strathclyde, LSE, uczelnie wojskowe Sundhurst i Dundee).

Jeszcze ważniejsze były kontakty z prawnikami w starych kancelariach i wielkich firmach konsultingowych, ponieważ mieli oni wielką wiedzę o funkcjonowaniu administracji i bardzo wartościowe dla mnie stosunki towarzyskie. Mam na myśli takich prawników, jak: George Dobry (dawniej w kancelarii Inner Temple, d.h.c. Uniwersytetu Warszawskiego, kawaler Orderów Zasługi z Gwiazdą RP – 1999 r.), Robert French, Brian Lincoln, Russel Denoon Duncan, Lord (Christopher) Kingsley. Przede wszystkim jednak pomogli mi w zrozumieniu brytyjskiego systemu władzy prawnicy na wysokich urządach – Lord Bingham of Cornhill, Gordon Slynn (Law Lord Slynn of Hadley), Lord Woolf, zajmujący stanowiska odpowiadające w Polsce najwyższemu stanowiskom w Sądzie Najwyższym. Rozmowy z takimi ludźmi o naszych aspiracjach wspominam jako test pomagający mi – bardziej niż rozmowy z aktywnymi dyplomatami – wypracować rozmaite warianty stylu prezentowania naszych interesów, łącznie z argumentacją „natowską”. Ci ludzie zresztą interesowali się przemianami w Europie Wschodniej, a Lord Slynn, prowadzący postępowanie w sprawie Pinocheta, doceniał też opinie odnoszące się do Chile, których mu nie skąpiłem jako historyk i osoba prywatna. Rozmowy z nim – pamiętam swoje wizyty w jego trzysta lat liczącej rezydencji w Bedfordshire – były dla mnie specjalnie pouczające, gdy dotyczyły prawa międzynarodowego i problematyki ewentualnego stacjonowania obcych sił zbrojnych na terytorium Polski. Lord Slynn został w 1999 r. odznaczony Orderem Zasługi RP za swój wkład w brytyjsko-polską współpracę prawników.

Aczkolwiek wstępowanie do NATO było bardzo istotnym przedmiotem działań ambasady, było też czymś prostszym od nieco później rozwiniętych i bardziej rozległych działań na rzecz integracji w UE. Co prawda od początku pojawiały się w rozmowach o NATO sprawy niby to drobne, a przecież urastające

u mych rozmówców czasem do rangi argumentu i symbolu, a przez to dla nas kłopotliwe. Pewien bardzo wybitny oficer brytyjski (ale już emerytowany) powiedział mi po powrocie z obchodów 50. rocznicy D-Day we Francji, że widział polskich żołnierzy podczas tej defilady. „Maszerowali jak Armia Czerwona. Gdybyście tam pokazali zmienioną musztrę, to jutro byłibyście w NATO”.

W końcu 1995 r. jak grom spadła na mnie wieść, że premier reprezentowanego przeze mnie państwa – aspirującego do NATO! – został w Sejmie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji! Ostatecznie sprawa ta minęła bez większego echa. Można tę reakcję rozmaicie interpretować, ale nie życzę takich niespodzianek żadnemu ambasadorowi.

Kolejnym przykrym momentem było pojawienie się w „Rzeczpospolitej” artykułu szefa polskiego Sztabu Generalnego – *Racja stanu* – tuż przed zapowiedzianym na następny dzień (9 maja 1996 r.) sejmowym exposé ministra spraw zagranicznych Dariusza Rosatiego. A więc słowa generałów podczas niesławnego obiadu w Drawsku (1994 r.) nie były czymś wyjątkowym? Generał w służbie czynnej publicznie pouczał polityków, Sejm, rząd, naród, co to jest racja stanu! Nie bałem się, że zostanę z dnia na dzień ambasadorem republiki bananowej, ale było też oczywiste, że takie publikacje nie mogą zrobić w Londynie dobrego wrażenia. Jeden z brytyjskich rozmówców wyliczył mi wkrótce inne, podobne artykuły tego generała w służbie czynnej. Oni to obserwowali. A ja przecież cały czas przekonywałem – i to samo czynił zastępca kierownika misji Sobków – że budujemy, a nawet już sprawujemy, efektywną konstytucyjną, cywilną kontrolę nad siłami zbrojnymi! Obowiązująca od 30 stycznia 1996 r. ustawa o urzędzie ministra obrony narodowej jednoznacznie określała zasady kierowania polskimi siłami zbrojnymi², ale na odwołanie tego polityka w generalskim mundurze czekaliśmy potem prawie rok. Poprawa pracy ataszatu wojskowego wymagała jeszcze dłuższego czasu, wykraczającego poza okres mej pracy na placówce. Nie chodziło przy tym

² „Art. 1. 1. Minister Obrony Narodowej jest naczelnym organem administracji państwowej w dziedzinie obronności Państwa. 2. Minister Obrony Narodowej wykonuje swoje zadania przy pomocy Ministerstwa Obrony Narodowej, zwanego dalej «Ministerstwem», w skład którego wchodzi Sztab Generalny Wojska Polskiego. Art. 2. Do zakresu działania Ministra Obrony Narodowej należy: 1) kierowanie w czasie pokoju całokształtem działalności Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, zwanych dalej «Siłami Zbrojnymi», (...)”, Dz.U.1996.10.56.

o czyjąś szczególnie złą wolę czy drastyczny brak osobistych zalet, dyskwalifikujący żołnierza w państwie demokratycznym, lecz o społeczną trudność szybkiego wykształcenia nowej roli funkcjonariusza organizacji zbudowanej na zasadzie hierarchicznej, jeszcze nie w pełni przestrojonej na funkcjonowanie w warunkach nowego ustroju. W tej akurat dziedzinie sugerowałem w maju 1997 r., zaledwie na dwa miesiące przed madryckim szczytem NATO, mającym obradować nad rozszerzeniem, odpowiednie zaadaptowanie do naszych potrzeb brytyjskiego – a więc wypracowanego w demokratycznym państwie – wzoru działalności ataszatu. Bezskutecznie, jeśli nie liczyć tego, że znów się naraziłem potężnym grupom nacisku – mundurowym i garniturowym. Ale też moja taktyka – jak to za późno zrozumiałem – pozostawiała bardzo wiele do życzenia.

Nie brakowało ludzi bardzo dobrze do Polski nastawionych, lecz mających wątpliwości co do terminu i zakresu rozszerzenia. Przez pewien czas należał do nich Sir Roderick Braithwaite, były ambasador w Moskwie, który swą karierę rozpoczynał w ambasadzie warszawskiej, podobnie jak jego żona. To jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, ale kiedy dowiedziałem się, że publicznie wyraża swoje stanowisko, zacząłem chodzić na jego wykłady. I wtedy mówca zaczynał mniej więcej tak: „Jestem zwolennikiem NATO i będę mówił o swych wątpliwościach tylko co do rozszerzenia, gdyż wolałbym trochę poczekać na umocnienie się gospodarki i demokracji kandydatów, ale widzę tu w pierwszym rządzie polskiego ambasadora, więc powiem od razu, że dla Polski robię wyjątek i Polskę w NATO chętnie już teraz powitam”. Po takim wykładzie zapraszaliśmy się wzajemnie na koncerty i kolacje z żonami. Naturalnie opinia Braithwaite’a miała głębsze źródła niż skład słuchaczy jego wykładu, ale my walczyliśmy o każde słowo poparcia wypowiedziane w dyskursie publicznym.

Ale nie zawsze mi tak dobrze szło. Do publicznego poparcia rozszerzenia chciałem skłonić Lorda Carringtona, byłego sekretarza stanu ds. obrony i sekretarza generalnego NATO (1984–1988). W „moich czasach londyńskich” zabierał głos raczej tylko na temat gospodarczych stosunków brytyjsko-rosyjskich. Jeździł w tych sprawach do Moskwy i bodajże w lipcu 1995 r. opowiedział mi o swej wizycie u ministra Kozyriewa. Do spotkania doszło z inicjatywy Kozyriewa. Rosjanin przekonywał, że włączenie Polski do

NATO jest dla Rosji nie do przyjęcia i on – Carrington – powinien to rozumieć. Na co Carrington odparł, że od człowieka, który tyle włożył w rozwój Zachodu, nie mogą przecież oczekiwać, że będzie się teraz sprzeciwiał rozwojowi NATO. Kiedy zaś Kozyriew podkreślał, że Polska w NATO to wzrost zagrożenia, Carrington replikował – cały czas powołując się tu na jego relację – że przecież Polska ma historycznie więcej powodów do obaw. Wtedy Kozyriew oświadczył mi w przystępie rzeczywistej albo tylko dobrze udawanej szczerości, że rozszerzenie NATO osłabi demokrację w Rosji. „Ten argument robi na mnie wrażenie” – powiedział mi Carrington tonem człowieka przekonanego, używając czasu teraźniejszego i patrząc mi w oczy. Ale wtedy ja go zapytałem, co rząd rosyjski robi w celu wyjaśnienia społeczeństwu Federacji Rosyjskiej prawdziwego charakteru NATO. Carrington przyznał, że prawdopodobnie nic i do tego jeszcze wykorzystuje dawne fobie. Tak sobie porozmawialiśmy z Lordem Carringtonem. Nie ośmieliłem się zachęcać go do inwestowania w Polsce. Publicznie zachował zyczliwą dla nas pasywność.

Skoro rząd brytyjski rozszerzenie popierał, mniej ważne niektórym się wydawało, że jednemu (tylko jednemu?) z członków laburzystowskiego gabinetu, zastępcy premiera Johnowi Prescottowi, nie podobała się idea „naszego” rozszerzenia NATO. Miał duże wpływy w tak zwanej bazie związkowej i mnie nie wolno go było lekceważyć. To był przecież Prescott. Tony Blair, dowiedziawszy się kiedyś, że Prescott zdzielił pięścią na ulicy jakiegoś agresywnego demonstranta, miał cierpko skonstatować: „John is John”. Podczas kolacji z polskim ministrem transportu Eugeniuszem Morawskim (rząd Jerzego Buzka) rozmawiał o związkach zawodowych w krajach europejskich i nagle palnął, ni stąd, ni zowąd – i to w obecności polskiego ambasadora i radcy handlowego ambasady – że „całe to rozszerzenie NATO to amerykańskie posunięcie przeciw Rosji”. Choć mi się wydawało, że jestem już na ekstrawagancje mojego gościa przygotowany, była to naprawdę ostatnia rzecz, jakiej się mogłem spodziewać na deser. Natychmiast coś odpowiedziałem, bodajże *à propos* (brytyjsko-amerykańskich) „specjalnych stosunków”, ale moja riposta nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, chyba że niedobre, a to dodatkowo z powodu mego „niesłusznego” akcentu. Tak więc New Labour miała rząd i mogła sobie mówić co chce, a proletariacka Old Labour wiedziała swoje i nie umiała się pohamować. To rzeczywiście był „cały John”. I dlatego nie robiłem z tego wielkiej afery.

Pod koniec 1996 r., a więc po październikowym przemówieniu Clintona w Detroit, kiedy zapowiedział przyjęcie Polski najpóźniej na pięćdziesięciolecie NATO (przypadające w 1999 r.), co potem prawie że powtórzył Portillo, przebywając prywatnie w Pradze, gdy rozmowy NATO – Federacja Rosyjska na temat współpracy były już zaawansowane, a rozpoczynały się też przygotowania do madryckiego szczytu NATO (planowanego na lipiec 1997 r.), zaczęliśmy odnotowywać przypływ wypowiedzi kwestionujących celowość rozszerzenia NATO. Doszukiwałem się w tym paradoksu zawiedzionych sowietologów na amerykańskich uniwersytetach, a był to czas negocjowania zasad współpracy NATO – Federacja Rosyjska. Negatywne opinie pojawiły się także w mediach. Nie pomagały rozmowy, lunche, wizyty, listy. Wyglądało teraz na to, że prasa kwestionuje „rozszerzeniową” politykę rządu brytyjskiego (a właściwie USA i pozostałych państw NATO). Miała prawo krytykować rząd, ale to, co niektóre gazety drukowały, a dochodziły też do mnie dziennikarskie opinie wypowiedzane w innym trybie, godziło w nasze interesy. Bałem się o ich wpływanie nie bezpośrednio na rząd, lecz na opinię publiczną. Uznałem więc, że można przypomnieć komu trzeba, jak to całkiem niedawno Foreign Office inspirowało czołowe gazety, a mogłem się przy tym powołać na moje badania nad brytyjską polityką zagraniczną. Przez środowisko prawników dotarłem prywatnie do najważniejszego dla mnie ministra i wyzaliłem się mu – jako osoba prywatna – a więc nie przebierając w słowach, na brak ich urzędowej reakcji na ton prasy, nie kwestionując oczywiście demokratycznych zasad wolności słowa. Chodziło mi o wysłanie do mediów i opinii publicznej oficjalnego sygnału potwierdzającego, że stanowisko rządu jest za rozszerzeniem. Robiłem to, znając jego uczucia szczerzej pogardy dla dziennikarzy. W tym samym duchu rozmawiałem z najwyższym rangą członkiem Służby Dyplomatycznej, nieoficjalnie, żeby nie zadrażniać, ale i nie ustąpić³.

Dyplomaci z FCO uspokajali mnie potem, że stanowisko rządu brytyjskiego jest pozytywne i niezmiennie. Rosja nie ma prawa

³ Posługiwałem się przy tym notatką napisaną na zwykłym notebooku, gdyż nie zawierała informacji tajnej, dzięki czemu łatwo mi dzisiaj przytoczyć jej fragmenty. Nie pamiętam już, czy była jeszcze stylistycznie wygładzana przez moich lingwistów w ambasadzie, zresztą i tak jej przecież swoim rozmówcom nie odczytywałem. Czytelnika może zaciekać, jakie treści były przedmiotem uwagi

weta. Wszyscy członkowie NATO będą równi. Polska może być pewna swego członkostwa.

W maju 1997 r. przeprowadziliśmy w Londynie, stosownie do zalecenia ministra spraw zagranicznych, nasiloną akcję publicznego promowania naszych aspiracji do członkostwa w NATO. Tłumaczyło się to przygotowaniem do szczytu madryckiego, ale dla mnie ważniejsze były rozmowy NATO – Federacja Rosyjska i zbliżające się podpisanie aktu powołującego Radę NATO-FR. W trakcie tych rozmów bowiem państwa NATO informowały przedstawicieli Federacji Rosyjskiej o swej filozofii rozmieszczenia broni nuklearnej i zamierzonych inwestycjach w infrastrukturę obronną. Linia oficjalna była taka, że FR nie ma prawa weta ani w sprawie rozszerzenia, ani w żadnej innej, ale – mimo zapewnień

niektórych komentatorów i tematem – wyrażanych jako moje osobiste i tylko raz jeden – tak polemicznych opinii w języku miejscami ostrzejszym niż zwykle:

(...) 1. The day is drawing near when Nato will make a decision on its enlargement. An invitation extended to Poland to join its structures will be tantamount to the emergence in Central Europe of the kind of relations that ought to have come into being in the wake of World War II, (...) had Poland been accorded by [the US and UK] the kind of treatment normally reserved for an ally.

2. Nato's intentions *vis-à-vis* Poland must be the subject of negotiations with Poland alone. They cannot figure as provisions in Nato's agreements with non-Nato countries. The building by Nato of a future status of Poland as a member country in conjunction with, or with the approval of, the Russian Federation would be nothing if not the eloquent proof of Nato's graciously conferring on Poland of the rank of semi-independent country.

3. Poland has no aspirations of seeing Nato members' nuclear forces deployed on her territory. Nato welcomes this attitude. However, the Polish Government cannot have its policies foisted upon it by any Nato agreement with any third Party, such as, for instance, the Russian Federation.

4. A Polish membership of Nato would take on a conditional character if it was hedged in by a prior agreement concluded by Nato and the Russian Federation, effectively barring deployment on Polish territory of the Nato nuclear forces or some other Nato installations. At this point one must throw into sharper focus Norway's position *vis-à-vis* Nato's nuclear forces if only to underscore the logic of Poland's stance: after all, the Norwegian government had not been arm-twisted into adopting its policy line by any deal clinched by Nato with a non-member state, and one concluded before admitting Norway.

5. The Nato expansion process will be derailed if Poland is set aside as a zone of Moscow's influence—a kind of inheritance from the now-defunct and unlamented USRR—or as a *de facto* superpower condominium. As a nation that suffered so hideously as a consequence of, among other things, the accord concluded at Yalta by the governments of the United States and the United Kingdom with the USSR, Poland flatly rejects such conduct in international relations as is running counter to overall aim of Nato—the attainment of international security and collective defence of the democratic nations.

naszych przyszłych sojuszników – trudno mi się było pozbyć obaw o to, że te rozmowy mogą się przekształcić w uzgadnianie warunków naszego przystąpienia, czyli kompromis z uszczerbkiem dla statusu nowych członków.

W dokumentacji Departamentu Prasy i Informacji MSZ powinno się znajdować sprawozdanie z tej akcji promowania naszych aspiracji, która objęła około 30 rozmaitych wydarzeń, poczynając od seminarium-briefingu na temat rozszerzenia w ambasadzie z udziałem wiceministra obrony narodowej z Warszawy dla czołowych ekspertów i dyplomatów brytyjskich, kończąc na wystąpieniu ambasadora w głównym wieczornym wydaniu dziennika telewizji Sky News. Ale nie wszystko szło gładko. Przykład: W ostatniej chwili odwołany został przyjazd zapowiedzianego w specjalnych zaproszeniach, wysokiego – specjalizującego się w problematyce obrony – przedstawiciela partii opozycyjnej („nie udało się na czas zorganizować biletu” – usłyszałem) i trzeba było gości kierować bezpośrednio do sali bankietowej. Nikt się od drzwi nie cofnął, ale przy okazji pożywił się też pewien stereotyp.

Już w marcu 1997 r. Clinton powiedział Jelcynowi to, z czego Rosjanin musiał sobie zdawać sprawę od dawna, że dojdzie do rozszerzenia o Polskę, Czechy i Węgry. Pod koniec maja rządy państw członkowskich NATO i rząd Federacji Rosyjskiej przyjęły akt stanowiący o stosunkach wzajemnych, współpracy i bezpieczeństwie, przewidujący utworzenie Stałej Wspólnej Rady NATO–Rosja. A w lipcu „szczyt NATO” w Madrycie zdecydował zaprosić Czechy, Polskę i Węgry do NATO. Odtąd rozmowy o rozszerzeniu UE zabierały mi więcej czasu niż rozmowy w sprawie NATO. O rozszerzeniu NATO politycznie przesądziło głosowanie w amerykańskim Senacie w kwietniu 1998 r. Starania o rozszerzenie UE wymagały bardziej skomplikowanej argumentacji. I miały szczególne znaczenie dla Brytyjczyków, ponieważ integracja i dla nich była problemem. Inaczej niż w przypadku rozszerzenia NATO, znaczenie stanowiska brytyjskiego w sprawie rozszerzenia UE było w pewnym momencie kluczowe i rozmawiało się o tym zarówno w Londynie, jak i daleko poza stolicą.

Poprzez rozmowy o rozszerzeniu NATO (a miały też miejsce brytyjskie ćwiczenia wojskowe w Polsce – „Ulan Eagle 96” w Drawsku, oraz wizyty polskich oficerów – np. 160 osób w 1996 r. na seminariach, kursach angielskiego; brytyjskie inwestycje, brytyjsko-polski początek rozszerzonej współpracy służb specjalnych,

funkcjonowanie Funduszu Know-How, rozpoczęcie współpracy wojskowej brytyjsko-polsko-ukraińskiej itp.) uczyliśmy się także sojuszniczego współdziałania w nowych warunkach geopolitycznych. I poznawaliśmy problemy, z którymi mają do czynienia nasi sojusznicy, którzy coraz bardziej otwarcie z nami rozmawiają. Przykład: Po mojej rozmowie z zastępcą podsekretarza stanu w MoD Richardem Hatfieldem w lutym 1997 r. udzielono mi w maju odpowiedzi na pytania dotyczące funkcjonowania attaché wojskowego w ambasadach – zasad jego komunikowania się i zakresu podległości ambasadorowi. Inny przykład: Najwyższy rangą dowódca powiedział mi, że brytyjskie lotnictwo wojskowe nie ma kłopotów z rekrutacją do szkoły pilotów, ale musi się uporać z oddolną presją na wcześniejsze przechodzenie pilotów do linii cywilnych. Presja wynika z tego, że wieloletnia już operacja iracka powoduje wczesne wylatanie godzin przez pilotów, którzy chcą odchodzić w wieku 32–34 lat, pobudzani do tego również przez rodziny. Najgłośniejsze na „warunki służby” narzekały żony pilotów, lecz – uwaga – nie z powodu różnicy w uposażeniu pilotów w RAF i liniach komercyjnych (różnica niewielka albo żadna). RAF dążył do utrzymania pilotów do ukończenia przez nich 38 lat. Nowa operacja bałkańska pogłębiała ten problem. Jeszcze kolejny przykład: Jeden ze stałych sekretarzy Ministerstwa Obrony, zarządzający finansami, mówił mi o nowej metodzie budżetowania, że wdrażana od 1997 r., dopiero od 1999 r. wchodzi w życie, a polega między innymi na uwzględnianiu pełnego stanu zasobów, łącznie z wartością nieruchomości, i wymaga planowania (zużycie materiałów i sprzętu) przy wyliczeniu pełnego kosztu (nie tylko cena u dostawcy). Początkowo dowódcy sprzyjali wysokiej wycenie składników, traktując wynik – może nieświadomie – jako wskaźnik prestiżu (bogata jednostka to ważna jednostka). Kiedy po przeprowadzeniu Strategic Defence Review (tę metodę zaczęliśmy później wdrażać też w Polsce) pojęli implikacje nowej metodologii (np. konieczność uwzględnienia amortyzacji), jako menadżerowie (sic!) integrującej się infrastruktury wszystkich rodzajów wojsk dążą do obniżenia oszacowań. W rezultacie dochodzi do wyceny realistycznej. Problem polityczny wynika z tego, że wykazanie w budżecie pełnego stanu majątkowego i tak prowadzi do kwot utrudniających atrakcyjną prezentację publiczną budżetu obronnego. Od dyplomaty amerykańskiego dowiedziałem się potem, że ta metodologia budżetowania przyciągnęła uwagę Pentagonu, który powinien używać swego programu komputerowego, lecz

w rzeczywistości stosuje metody uproszczone. Kiedy rok później mówiłem na posiedzeniu senackiej Komisji Spraw Zagranicznych o zaletach 15-letniego horyzontu w budżetowaniu wydatków na obronę narodową, stosowanego u naszych NATO-wskich partnerów, dla wielu słuchaczy brzmiało to egzotycznie. Teraz, po dziesięciu latach przynależności do NATO, sprawy wyglądają trochę lepiej. Także w Londynie coraz więcej o nas wiedzą i do przeszłości należą telewizyjne zapewnienia brytyjskiego ministra, że „Polska jest bezpieczna między Wisłą a Bugiem”.

Po 16 grudnia 1997 r., kiedy to ministrowie państw członkowskich NATO podpisali protokół akcesyjny, zwiększyło się też zainteresowanie i zaznaczyła większa otwartość Brytyjczyków. Raz jeszcze stawało się jasne, że rozszerzenie NATO leży w interesie zarówno naszym, jak i „starych” członków. Przemknęło mi wtedy przez myśl, że gdyby Europejczycy byli mądrzy, to wysunęliby Geremka na sekretarza generalnego NATO. Skoro tyle już uzyskaliśmy, to nic nie jest niemożliwe! Ten chwilowy przypływ naiwnej euforii był częścią mej wielkiej satysfakcji. Realizowaliśmy polską rację stanu. Członkostwa w NATO chciały władze Rzeczypospolitej i 85% jej pełnoletnich obywateli. Nasze usilne, zespołowe, wytężone starania o członkostwo NATO nie poszły na marne. Przemiana ustrojowa i taki miała wymiar.

Minister Henderson dopytywał się w obecności minister Danuty Hübner, ówczesnej sekretarz Komitetu Integracji Europejskiej, o rozwój polskiego samorządu terytorialnego, co można było uznać za pytanie zwyczajne, ale Brytyjczycy zadawali także pytania, jakich przedtem formułować by nie mogli, bo i okazji do otwartej rozmowy z ambasadorem Polski by nie mieli. Szef ważnej służby wojskowej zapytał wprost: Czy można mieć zaufanie do tych wszystkich generałów i pułkowników, przecież oni kończyli sowieckie akademie? Odpowiedziałem mu „po wojskowemu”, że skoro co jakiś czas znajduje się złoczyńca, który rodzonej matce podrzyna gardło, to tym bardziej może nie zabraknąć osobnika, który swoją matkę sprzeda, lecz ile takich przypadków mamy na stulecie? Zresztą, najniebezpieczniejsi są zdrajcy motywowani ideologicznie, o czym świadczy historia „czwórki z Cambridge” (dodam, że mieliśmy wtedy kolejną falę dyskusji o tym, kim był „ten piąty”), a ja bardzo bym się zdziwił, gdyby wśród polskich oficerów takiej rangi w czynnej służbie u końca XX w., po tym wszystkim, co się stało, znalazł się ktoś, kto by mógł tak głęboko

utożsamić się z Rosją – tym bardziej komunizmem. To jest niezwykle mało prawdopodobne, ale z pewnym poziomem nieszczęścia trzeba się zawsze liczyć, musimy wszyscy uważać – w każdym kraju. Takie rozmowy także toczyliśmy. A dla ubarwienia dodam, że Le Carré zapytał mnie pewnego razu: Czy wasi intelektualiści byli pod wpływem marksizmu? Oczywiście, że byli, nie tylko nasi, a po obydwóch stronach żelaznej kurtyny. I ja byłem, choć nigdy za marksistę się nie uważałem i jako taki oczywiście się nie deklarowałem, gdyż czym innym było zainteresowanie filozofią młodego Marksa i na przykład uznanie wagi zagadnienia alienacji czy konfliktu klasowego w historii, niczym heglowskiej sprzeczności poruszającej świat, a zupełnie czym innym uleganie propagandowej agitacji. Marksizmowi niejedno nadano imię. Kiedy nasz sąsiad za ścianą fałszuje na skrzypcach, nie powinno to nas skłaniać do walki o usunięcie skrzypiec z orkiestry symfonicznej. Ale nie brakowało w Polsce gorliwych wielbicieli wszystkiego z etykietką marksizmu-leninizmu. I robota ich niejedną pozostawiła ślad. Le Carré słuchał tego tak, jakby się prawie takiej odpowiedzi spodziewał. On wcale dobrze się w naszych stosunkach orientował. I miałem wrażenie, że uważa nasze członkostwo w NATO za przesądzone od dawna. Zaprosiłem go kiedyś na duże przyjęcie w ambasadzie. Występował incognito, więc zapoznałem z nim tylko zastępcę kierownika placówki.

Pytania zadawali mi też dziennikarze telewizyjni i radiowi. Po raz pierwszy ambasador RP wypowiadał się tak często w BBC World Service i innych stacjach radiowych i telewizyjnych. Raz nawet za cenę mego dużego wyrzeczenia, tak mi się początkowo wydawało, ponieważ zamiast na mecz Polska-Anglia „musiałem” pojechać do studia telewizyjnego BBC. Na mecz „wysłałem” moją żonę i młodszą córkę Zosię, studentkę New College. Mojej żonie przypadło „moje” miejsce obok Jacka Strawa, wówczas sekretarza stanu ds. wewnętrznych (a potem – ds. zagranicznych i Commonwealthu). Straw powiedział mi potem, że nie zapomni, iż po raz pierwszy w życiu spotkał dorosłą osobę, która nigdy przedtem nie była na meczu piłki nożnej, a na jego pytanie, czy się jej na Wembley podoba, odpowiedziała, że i owszem, ale w gazetach czyta, że New Labour wprowadza wiele reform, więc może jego rząd wprowadziłby na stadionach replaye – jak w transmisji telewizyjnej! Zapyta ktoś, czy to ma coś wspólnego z NATO? Otóż ma. Dziś dyplomacja ubiega się o podniesienie prestiżu swego kraju za

pomocą osiągnięć naukowych, sportowych i artystycznych tym wyraźniej, im bardziej jest oczywiste, że dawne metody demonstracji potęgi stają się nieaktualne. Jeżeli łatwiej więc kogoś zaprosić do willowej rezydencji ambasadora w prestiżowej dzielnicy Hampstead, niż do rezydencji mieszczącej się w zwykłej kamienicy gęsto zabudowanego centrum, to tym bardziej liczy się każdy kontakt osobisty z członkiem rządu w niekonwencjonalnej sytuacji. Ten „piłkarski” zbieg okoliczności potem bardzo mi się przydał do rozbudowy kontaktów nieoficjalnych. Nie mogłem się posłużyć następną okazją meczową, ale zaproszeniem na przedstawienie z kolacją w Glyndebourne – czemu nie? Jeśli ktoś wie, jak często ambasador spoza G7 ma osobisty kontakt z członkiem brytyjskiego gabinetu, to rozumie, że liczy się każda sposobność. I urzędnicy oraz media prawie wszystko to widzą.

Dziennikarze gazet byli zwykle mniej „spozstrzegawczy” niż ludzie telewizji i radia. Raz moim gościem w ambasadzie był dyrektor generalny BBC i jego współpracownicy. Znanych komentatorów prasowych zapraszałem nieustannie i karmiłem zarówno polskimi specjałami, jak i wiadomościami. Byłem pod wrażeniem ich wysokiego poziomu zawodowego, z wyjątkiem znajomości historii i to nie tylko Polski, ale także najnowszej historii politycznej kontynentalnych sojuszników Zjednoczonego Królestwa. Nieraz miałem ochotę powiedzieć im coś dobitnie o spoczywającym na nich (jak przedtem – na ich rodzicach) moralnym obowiązku popierania Polski i konieczności odkupienia win ich dawnych przywódców, ale trzeba było ważyć słowa.

Kiedy kończyłem swą misję w Zjednoczonym Królestwie, Air Chief Marshall Sir Richard Johns, szef sztabu RAF, wydał na cześć ambasadora RP w swej urzędowej kwaterze kolację z udziałem wysokich oficerów, szefów służb i prezesów wielkich spółek pracujących na użytek wojska. To nie była zwyczajna praktyka w Londynie i – paradoksalnie – pożegnanie ambasadora RP było jeszcze jedną formą wojskowego powitania Polski jako nowego sojusznika w NATO. Podczas mego pożegnalnego lunchu w FCO laburzystowska minister stanu Joyce Quin mówiła o Polsce jako głównym partnerze środkowoeuropejskim Zjednoczonego Królestwa, i w NATO, i wkrótce w UE. Była to *music to my ears*, ale nie byłem pewien, czy my – Polacy i Brytyjczycy – zdajemy sobie w pełni sprawę z problemów związanych z NATO i UE, stale omawianych i stale pobudzających do głębszego ich analizowania.

Ograniczone ramy tych wspomnień pozwalają zaledwie na ich zasygnalizowanie.

Za ważny problem uważałem paralelność integracji. Otóż w NATO i UE miała się wkrótce znaleźć większość demokratycznych państw europejskich. I było oczywiste, że niektóre funkcje państwa zostały objęte integracją w UE – częściowo trybem wspólnotowym, częściowo międzyrządowym; niektóre inne zaś harmonizowane były w trybie międzyrządowym NATO. W praktyce dyplomatycznej odbijało się to nieustannym wałkowaniem koncepcji brytyjskich, francuskich i niemieckich w zakresie problematyki Unii Zachodnioeuropejskiej, która została ostatecznie włączona do traktatów unijnych. Zaznaczało się też w dyskusji o koncepcjach wspólnej polityki obronnej, zagranicznej i polityki bezpieczeństwa, jako potencjalnych politykach wspólnotowych UE. Politycy brytyjscy stali tu wobec problemu, jak pogodzić specjalne stosunki brytyjsko-amerykańskie z wymogami rozwoju UE. Był to także do pewnego stopnia potencjalny problem dla rządu polskiego.

Istotne pytanie dotyczyło funkcji NATO w nowej strukturze światosystemu bez rywalizacji dwóch supermocarstw. To z kolei wiązało się z nieustannym zajmowaniem się problematyką bałkańską i, w nieco mniejszym stopniu, międzynarodowymi skutkami agresji Iraku przeciw Kuwejtowi. W tle tego wszystkiego toczyła się dyskusja nad definicją potencjalnego agresora, przed którym NATO miałyby się bronić.

Nieodłącznie pojawiało się też pytanie o definicję nowej (po upadku ZSRR) polityki wobec rosyjskiego państwa. Rządy państw NATO nie zamierzały uzależniać swej polityki od zgody rządu rosyjskiego, ale jak mi powiedział pewien minister brytyjski, „nie będziemy też budować tych nowych stosunków, zaczynając od ostentacyjnego utarcia Rosjanom nosa”. Z tym wiązała się sprawa rozmieszczenia broni nuklearnej oraz rozbudowy infrastruktury na terytorium nowych członków NATO. Zapewniano Moskwę, że nie istnieje zamiar, nie istnieje plan i nie istnieje potrzeba takiego rozmieszczania. Kiedy mnie w tej sprawie – raczej mimochodem – indagowano, odpowiedziałem, że przecież Polska nigdy nie domagała się takiej broni. Na co usłyszałem od generała ze środkowo-europejskiego dowództwa NATO: „ale mówiliście o tym cicho, niejednoznacznie i rozmaicie”. Tłumaczyłem więc, że chodzi nam teraz o równy status członkowski równych państw suwerennych

w NATO, a o strategii NATO nasz rząd będzie mówił wyraźnym głosem członka NATO wtedy, kiedy Polska członkiem będzie (odsyłam do przypisu 3).

Może warto zauważyć, że kiedy zostaną już podjęte badania nad stosunkami polsko-brytyjskimi, pracę ambasadora RP w Londynie na rzecz polskiego członkostwa w NATO będzie można przedstawić między innymi za pomocą koncepcji funkcji dyplomacji – wszystkich z wyjątkiem zawierania umów. W tym konkretnym wypadku dyplomacja polegała przede wszystkim na: (1) diagnozowaniu stanowiska rządu brytyjskiego, ocenianiu stanu stosunków polsko-brytyjskich oraz prognozowaniu w tych dziedzinach; (2) reprezentowaniu interesów składających się na polską rację stanu i – generalnie – przekazywaniu wiadomości o Polsce brytyjskim organom władzy publicznej oraz partiom politycznym, do pewnego stopnia też środkami dyplomacji publicznej stowarzyszeniom, osobom etc., także emigrantom polskim i środowiskom związanym z Polską przez swoje pochodzenie; (3) pośredniczeniu w komunikowaniu się rządów obydwu państw (mam tu na myśli przede wszystkim organy władzy wykonawczej). Historyk znajdzie w archiwach tysiące tekstów wysłanych z ambasady, od szyfrowanych depeš poczynając, na jawnych clarisach prasowych kończąc.

Dzięki szczególnej pozycji Londynu zdołaliśmy rozciągnąć działalność ambasady na problematykę innych rządów, organizacji i osób, sięgając poza Zjednoczone Królestwo, a poprzez kontakty ze specjalistami w zakresie budżetowania potrafiliśmy sobie wyrobić opinię na temat skali finansowych kosztów rozszerzenia, czynnik skądinąd trudny do oszacowania i, jak się okazało, dla decyzji o rozszerzeniu trzeciorzędny.

Zrobiłem dla osiągnięcia celu „Polska w NATO” tyle, ile potrafiłem. Zresztą, powtarzam, ambasador zbyt wiele nie znaczy. Uczestniczyłem w prowadzeniu sprawy, która rozgrywała się jednocześnie w wielu krajach. Można było zrobić jeszcze trochę więcej dla poszerzenia obecności Polski w tamtejszym dyskursie publicznym, a więc pośrednio dla sprawy polskiego członkostwa w NATO (i UE), gdybyśmy przeznaczyli na to więcej środków i mieli lepszą informację z kraju. I gdybym popełnił mniej błędów w stosunkach z naszymi politykami oraz urzędnikami. Może byłbym trochę skuteczniejszy dzięki poprawianiu informowania i finansowania placówki oraz organizowania wizyt, oszczędzając

stresu moim współpracownikom i sobie, gdybym tylko okazał więcej cierpliwości i miał skromniejsze wyobrażenia o możliwym tempie naszej transformacji ustrojowej. Istniały u nas – i nie zniknęły jeszcze zupełnie – bariery wzrostu, o których przyjdzie kiedyś rozmawiać historykom. Pracowałoby się też łatwiej, gdybym wykazał więcej praktycznej inteligencji i wykrztusił z siebie, od czasu do czasu, jakiś giętki komplement pod adresem jednego czy drugiego polityka albo urzędnika w „centrali”, zamiast zniechęcać ludzi objaśnianiem skomplikowanych spraw. Ale wtedy szkicowałbym te obrazki innym piórkiem.

Na moim przyjęciu pożegnalnym w ambasadzie były minister obrony w rządzie konserwatystów Michael Portillo rzucił na odchodne: „Well then, see you at the next stop”. I rzeczywiście, nie wystarczyło dojechać do przystanku „NATO”, wieloletni wysiłek wielkiej rzeszy polskich polityków, dyplomatów, urzędników, funkcjonariuszy... na rzecz członkostwa w NATO przechodził już do historii, Polska rekonstruowała się w panującym światosystemie, współtworząc bezprecedensowo korzystne warunki bezpieczeństwa, ale wyboista Aleja Rozszerzenia ciągnęła się dalej i *the next stop* na niej znajdował się przy gmachu Komisji Europejskiej.